WARSZAWA
ROK IV

KWIECIEŃ – MAJ

Nr 3–4

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 15 zł

TREŚĆ NUMERU

STEFAN MATUSZEWSKI — Blok demokracji i blok wstecznictwa 1

WACŁAW BIELECKI — Stara i nowa demokracja . . . 3

WITOLD WUDEL — Naderwane pęta 22

KAZIMIERZ RUSINEK — Delegacja K.C.Z.Z. w Związku Radzieckim 26

PAWEŁ ETTINGER — Nowe prace rosyjskie z dziedziny historii sztuki 31

FRANCISZEK BARTNICKI — Liciński — zapomniany pisarz włóczęga 33

JERZY BRZĘCZKOWSKI — Pan granatowy 40

ROMAN BRATNY — Zemsta 52

STANISŁAW NADZIN — Dzieje jednego grypsu . . . 58

BOLESŁAW DUDZIŃSKI — Co pan myśli o Przybysiu? . 65

CZESŁAWA WOJEŃSKA — Wiktor Strzelecki (Karol) . 68

STEFAN MATUSZEWSKI

Blok demokracji i blok wstecznictwa

Przed narodem polskim stoi alternatywa: wzmacniać podstawy gospodarki i polityki naszego ustroju lub uczynić zwrot do orientacji przedwojennej, a więc i do konsekwencji z niej wynikających.

Pierwsza droga zrealizowana przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, Rząd Tymczasowy i Rząd Jedności Narodowej polega na konsekwentnym przeprowadzeniu reformy rolnej, unarodowieniu przemysłu, rozwoju inicjatywy prywatnej w ramach interesu ogółu. Te zasady gospodarcze są podstawą naszego programu politycznego i kulturalnego. Od funkcjonowania przemysłu społecznego, od gospodarki upaństwowionej, od rozwoju dóbr materialnych pochodzących z inicjatywy prywatnej i rozwoju gospodarki rolnej zależy układ sił społecznych i politycznych w kraju, zależy nasza kultura. Im bardziej postęp sił gospodarczych będzie uwidoczniał się, tym bardziej wzrastać będzie autorytet Rządu i partyj, tym większe będzie zaufanie społeczeństwa do kierownictwa i tym bardziej umacniać się będzie pokój wewnętrzny i w konsekwencji swej pokój międzynarodowy. Zdrowa część społeczeństwa polskiego, partie demokratycznego bloku wyborczego, organizacje społeczne nastawione są na konstruktywną pracę i mają już wiele osiągnięć, nie tylko w dziedzinie gospodarki krajowej, ale i w polityce zagranicznej, zwłaszcza w osiągnięciach sojuszu dotyczacego przyjaźni i wzajemnej pomocy ze Związkiem Radzieckim i Jugosławią.

Druga droga, na którą oficjalnie chce wkroczyć P.S.L., jest faktycznie prowadząca do restytucji przedwojennego reżymu. Niezależnie od argumentacji, która zaciemnia właściwe ukryte

cele widoczny jest pęd do przekształcenia reformy rolnej ku wzmocnieniu najbardziej wstecznych elementów na wsi, widoczne jest dążenie do rozwoju „wolnej, nieskrępowanej” inicjatywy prywatnej w przemyśle i handlu z przywróceniem wszelkiego rodzaju ucisku warstw pracujących i żerowania na nadmiarze sił roboczych. Jasne jest, że wskrzeszenie przedwojennych form przy zastosowaniu nowoczesnej techniki sprowadzałoby ostrą walkę klasową wewnątrz kraju. Rozwój walki klasowej, gdy właściwą władzę gospodarczą sprawuje obszarnik, czy kapitalista, rozwój ten nie zawsze oddaje wprost władzę światu pracy, przechodzi przez faszyzację reżymu i w konsekwencji swej powoduje imperialistyczne zapędy, które kończą się wojną i zniszczeniem podstawowych wartości narodowych. Powrót więc gospodarki przedwojennej przyniósłby nawrót do przedwojennej polityki, przyniósłby powtórzenie 1939 roku, tylko ze znacznie przykrzejszymi konsekwencjami, któreby spowodowały unicestwienie naszego narodu.

Stoją więc dwie możliwości przed społeczeństwem. Trzeba wybrać: albo drogę spokoju i rozwoju naszego państwa, albo drogę, która zakończyłaby się ogólno-narodową tragedią.

Demokratyczny blok wyborczy, składający się z 4 partyj politycznych: P.P.S., P.P.R., S.L., S.D., członków S.P., szerokich kół chłopów z P.S.L. łącznie z wielkimi masami bezpartyjnych stanowi rękojmię utrzymania i polepszenia naszego ustroju gospodarczego i politycznego. **Stawia na pokój i rozwój naszego państwa.**

Blok wstecznictwa, składający się z band N.S.Z., ukrytej endecji, sanacji, grup volksdeutschów i pewnych kół P.S.L. przeróżnych świadomych lub nieświadomych agentów reakcyjnych szykuje się do ataku na pozycje demokracji. **Stawia na walki bratobójcze i trzecią wojnę.** Nadchodzące wybory uważa za ostatnią realną szansę i chciałby tę szansę wygrać.

Instynkt, zdrowy rozum narodu przeważy, jak przeważał zwykle w decydujących chwilach. Zwycięstwo po stronie postępu gospodarczego, zdrowej polityki wewnętrznej i zagranicznej jest niewątpliwe. Naród wybierze drogę demokracji, którą wybrał P.K.W.N., Rząd Tymczasowy i Rząd Jedności Narodowej.

Referendum narodowe, będzie wstępem do krystalizowania się poglądów ustrojowych i będzie wstępem do wyjaśnienia sytuacji w kraju, do wytrącenia reakcji broni z ręki. Referendum ocuci niewątpliwie wielu działaczy P.S.L. oraz kół z nimi związanych, mających na celu rzeczywiste dobro państwa.

WACŁAW BIELECKI

Stara i nowa demokracja

IV.

Demokracja — znaczy dosłownie — władza ludu. Jednakże demokracja mieszczańska nie mogła być i nie była nigdy władzą ludu. W ustroju kapitalistycznym, w demokracji mieszczańskiej władzę polityczną sprawować mogła tylko jedna klasa, ta klasa, która posiadała władzę ekonomiczną — panowała wszechwładnie w przemyśle, w handlu, w finansach, skupiała w swych rękach wszystkie środki produkcji: fabryki, ziemię, banki, klasa kapitalistów — burżuazja. Sprawowała ona rządy nie w interesie mas pracujących, nie w interesie ludu, lecz w interesie własnym, w interesie zachowania wyłącznego prawa kapitalistów do eksploatacji najszerszych mas pracujących. Władza polityczna, państwo ze swym całym aparatem biurokratycznym, policją, wojskiem, więzieniami itd. itd. było narzędziem panowania jednej klasy przy pomocy którego znaczna mniejszość społeczeństwa mogła eksploatować i utrzymywać w posłuszeństwie ogromną większość — klasy pracujące.

To zasadnicze stwierdzenie, stanowiące jedną z elementarnych podstaw marksizmu, nie oznacza bynajmniej, że pomiędzy rządami burżuazyjnymi nie było różnic, że masom pracującym było obojętne jaki rząd burżuazyjny był przy władzy, czy był to rząd konserwatywny w Anglii, czy też rząd partii pracy. Oczywiście różnice były i to często różnice bardzo poważne. Jedne stosowały metody bardziej drakońskie, forsowały bardziej bezwzględnie interesy swoich mocodawców, inne uważały, że metody łagodniejsze, metody reform społecznych, ustępstw wobec klasy robotniczej posłużą lepiej dla utrwalenia kapitalizmu. Klasie robotniczej rzecz jasna nie mogło być obojętne jakie metody rządzenia będą stosowane. Lecz mimo tych poważnych różnic w metodach rządzenia, istota wszystkich tych rządów, ich charakter klasowy był ten sam. Były to rządy burżuazyjne, choćby partie, które je sprawowały, nosiły nawet antykapitalistyczne, ba, socjalistyczne nazwy.

Znajdą się zapewne tacy, którzy na wszystkie te argumenty odpowiedzą: jakże to może być władza burżuazji kiedy istnieją powszechne, wolne, demokratyczne i tajne wybory, gdy każdy może głosować na tego, kogo chce, gdy istnieją rządy parlamen-

tarne, rządy większości. Jak się to dzieje, że przy powszechnych wyborach władzę może sprawować jedna klasa, stanowiąca znaczną mniejszość społeczeństwa, nad ogromną większością?

Jeśliby się bliżej przypatrzyć systemom wyborczym w demokratycznej Anglii czy Francji przed wojną, to okazałoby się, że nie były one tak bardzo demokratyczne i powszechne. W Anglii np. mógł kandydować tylko ten, który składał wcale pokaźną kaucję, a żaden robotnik czy chłop nie mógł sobie na nią pozwolić. Głosować zaś mogli tylko ci, którzy płacili pewne określone podatki. We Francji większość społeczeństwa, kobiety wcale nie miały prawa głosu. Nie na tym jednak polega istota zagadnienia, nie na większych lub mniejszych trudnościach, które stwarzały konstytucje w poszczególnych państwach burżuazyjnych dla przeprowadzenia rzeczywiście powszechnych i demokratycznych wyborów. Istota polega na tym, że klasa kapitalistów i klasy pracujące stają do wyborów zgóry z nierównymi szansami. Fabrykant może wpływać na robotników nie tylko dlatego, że są oni od niego ekonomicznie zależni i, że władza polityczna jest na jego usługi — lecz przede wszystkim dlatego, że oprócz środków produkcji i przemocy posiada on w swych rękach wszystkie środki ideologicznego oddziaływania na masy. Posiada prasę o wszystkich możliwych odcieniach, która agituje w odpowiedni sposób do wyborów, przedstawiając kandydatów burżuazji jako przyjaciół i rzekomych kandydatów ludu. Posiada w swych rękach sale wyborcze, może zarzucić masy milionami ulotek i odezw, tysiące i dziesiątki tysięcy opłacanych przez nią agitatorów działa na rzecz jej kandydatów. Szkoła wychowuje młodzież w jej duchu. Kościół stoi na jej usługach itd. itd.

Nic dziwnego, że, posiadając tak olbrzymi aparat oddziaływania ideologicznego, potrafi otumanić dużą część klasy robotniczej, mas pracujących. Potrafi przeprowadzić kampanię wyborczą tak, że robotnik czy chłop idąc do urn wyborczych i głosując na kandydatów burżuazji, przekonany jest przeważnie, że głosuje na swoich kandydatów. Marx określił dosadnie parlamentarną demokrację mieszczańską słowami: „robotnik raz na cztery lata ma prawo głosować, kto go będzie w parlamencie reprezentował i tratował” (gra słów po niemiecku: vertreten — reprezentować i zertreten — tratować, deptać). W rezultacie wybrany parlament posiada większość burżuazyjną i nie było takiego parlamentu w okresie kapitalizmu, w którymby to żelazne prawo demokracji mieszczańskiej zostało naruszone. Tego rodzaju ideologiczne oddziaływanie na masy przy pomocy wszystkich środków skupionych w rękach klasy

kapitalistów: prasa, kino, szkoła, radio, kościół itd. itd. jest tym łatwiejsze i tym bardziej niezawodne im mniejszy jest stopień uświadomienia i zorganizowania mas pracujących i tym dogodniejsze są dla burżuazji metody demokratycznego rządzenia, które przy pozorach władzy ludu, przy jego aprobacie przez powszechne wybory pozwalają sprawować burżuazji nieskrępowaną władzę nad ludem. W miarę rozwoju kapitalizmu, w miarę zaostrzania się walki klasowej i narastania świadomości i stopnia zorganizowania mas pracujących tego rodzaju metody oddziaływania burżuazji na masy pracujące napotykają na coraz większe przeszkody i zmuszają do stosowania coraz bardziej kunsztownych, coraz bardziej wyrafinowanych metod dla otumanienia i pociągnięcia za sobą klasy robotniczej. Burżuazja zaczyna stosować na większą skalę metody przekupywania już nie tylko poszczególnych działaczy robotniczych, lecz całych warstw, które usiłuje w ten sposób związać ze sobą. Prowadzi stałą systematyczną pracę ideologiczną wśród mas pracujących, tworzy specjalne swoje agentury, partie polityczne, działające w masach, których głównym celem jest otumanienie klasy robotniczej, odwiedzenie od walki z burżuazją, a skierowanie na tory współpracy. Sama akcja wyborcza w miarę rozwoju kapitalizmu wymaga coraz większego nakładu sił, środków pieniężnych i propagandowych, coraz potężniejszej machiny wyborczej. Wiadomą jest rzeczą, że w Stanach Zjednoczonych obie partie republikańska i demokratyczna posiadają potężny aparat wyborczy, działający stale i pracują w nim dziesiątki tysięcy ludzi zawodowo trudniących się wyłącznie wyborami.

Lecz i te udoskonalone metody ideologicznego oddziaływania na masy nie zawsze są skuteczne, i coraz częściej w miarę zaostrzania się walki klasowej zaczynają zawodzić i stawiać przed burżuazją groźne niebezpieczeństwo rzeczywistej władzy ludu. Dlatego burżuazja coraz częściej odwraca się od metod demokratycznych i szuka nowych sposobów ocalenia swojej władzy, swojego ustroju.

Awangarda klasy robotniczej zdawała sobie zawsze sprawę, że rządy w ustroju kapitalistycznym bez względu na ich formy i ich skład partyjny nie mogą reprezentować ludu i nie bronią interesów ludu, że są one rządami burżuazji. Partie robotnicze t. zn. partie marksistowskie, (gdyż marksizm jest ideologią proletariatu) stały konsekwentnie na stanowisku, że popieranie rządów burżuazyjnych, współpraca z nimi, a tymbardziej udział przedstawicieli partyj robotniczych w rządach burżuazyjnych jest w ustroju kapitalistycznym niemożliwy.

Podstawowym bowiem zadaniem klasy robotniczej i jej celem jest obalenie kapitalizmu i zbudowanie na jego gruzach nowego ustroju — ustroju socjalistycznego. Nie mogło więc być mowy o współpracy z burżuazją, o udziale w jej rządach. Taka była teoria i praktyka partii marksistowskich w ciągu całego XIX wieku. W praktyce tej został uczyniony wyłom przez wstąpienie do rządu we Francji pierwszego w historii ministra socjalistycznego — Milleranda. Casus Milleranda narobił wtedy wielkiej wrzawy i krok ten został potępiony oficjalnie przez najbliższy kongres II Międzynarodówki. Lecz jasne było, że nie był to przypadek. Wewnątrz ruchu robotniczego krystalizowały się bowiem tendencje oportunistyczne, występujące pod hasłem rewizji podstawowych zasad marksizmu. — Zamiast marksistowskiej teorii walki klasowej, zaostrzania przeciwieństw klasowych w miarę rozwoju kapitalizmu, oportunistyczne skrzydło ruchu robotniczego wysunęło teorię stopniowego łagodzenia przeciwieństw klasowych i co za tym idzie ugody klasowej. Zamiast obalenia kapitalizmu — współpraca z kapitałem, zamiast rewolucji proletariackiej — osławiona teoria rewolucyjnego przerastania demokracji burżuazyjnej w socjalizm. Sprawa Milleranda była więc tylko praktycznym zastosowaniem tych oportunistycznych teorii wewnątrz klasy robotniczej. Praktyka współpracy z burżuazją, udziału w rządach burżuazyjnych itd. stała się już później nie wyjątkiem, a zasadą w prawym, oportunistycznym skrzydle ruchu robotniczego, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej i doprowadzić musiała w końcu do sprzeniewierzenia się interesom klasy robotniczej, do przejścia na stronę wroga klasowego. Niektóre oportunistyczne odłamy partii robotniczych stały się wtedy oporą kapitalizmu, stoczyły się do roli jego obrońców przed klasą robotniczą i pomagały burżuazji w tępieniu i gnieceniu rewolucji proletariackich. Taką niesławną rolę odegrał np. w Niemczech po pierwszej wojnie światowej rząd z udziałem socjaldemokratów Szajdemana i Noske'go.

Tragiczne dla proletariatu doświadczenie i praktyka wykazały jasno do czego prowadzi droga współpracy z rządami burżuazji, identyfikowanie demokracji mieszczańskiej z władzą ludu. Doświadczenie i praktyka wykazały również, że demokracja mieszczańska nie prowadzi bynajmniej ewolucyjnie do socjalizmu, lecz prowadzić może, jeśli klasa robotnicza nie jest dość silna i zdecydowana by spełnić swoje historyczne zadania, do zlikwidowania demokracji mieszczańskiej — do faszyzmu.

Taki był stosunek awangardy proletariatu do rządów bur-

żuazyjnych w demokracji mieszczańskiej aż do okresu, gdy na arenę dziejową wystąpił faszyzm — najgroźniejszy wróg nie tylko demokracji proletariackiej lecz i demokracji mieszczańskiej.

Niebezpieczeństwo faszystowskie zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech doprowadziło do zasadniczej zmiany w sytuacji międzynarodowej, do zasadniczego przegrupowania sił klasowych. Ludzkość wstąpiła w nowy okres historyczny, okres walki z faszyzmem. Podstawowym przeciwieństwem, które rozdzierało świat przestał już być dylemat kapitalizm czy socjalizm, jak to było w drugiej połowie XIX wieku i pierwszych trzech dziesiątkach XX wieku. Nie kapitalizm czy socjalizm, lecz faszyzm czy demokracja oto był podstawowy dylemat postawiony przed ludzkością. Demokracja proletariacka i demokracja mieszczańska musiały pod groźbą zagłady połączyć swe siły do walki ze wspólnym wrogiem — faszyzmem. Linia podziału w skali międzynarodowej nie biegła już jak dawniej po pierwszej wojnie światowej pomiędzy państwami kapitalistycznymi z jednej strony a państwem proletariackim, Związkiem Radzieckim z drugiej. Przeciwieństwa między nimi musiały schodzić na plan dalszy w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa i w konsekwencji musiało dojść i w końcu doszło do współpracy, do złączenia wysiłków wszystkich państw demokratycznych przeciwko blokowi państw faszystowskich. Linia podziału nie biegła już jak dawniej pomiędzy proletariatem a burżuazją jako podstawowym przeciwieństwem wewnętrznym społeczeństwa kapitalistycznego. Po zasadniczym przegrupowaniu sił, naprzeciw siebie stanęły dwa nowe obozy — z jednej strony faszyzm, który nie reprezentował bynajmniej interesów i metod rządzenia całej burżuazji, lecz tylko garstki monopolistów finansowych, dążących do ujęcia w żelazne kleszcze i podporządkowania sobie całej gospodarki, całego życia politycznego najdzikszymi, najbrutalniejszymi metodami terroru — z drugiej strony wszyscy ci, którzy byli przez klikę kapitału monopolistycznego zagrożeni, jednym słowem ogromna większość społeczeństwa, cały obóz demokracji.

Klika faszystowska dążyła nie tylko do nieskrępowanej eksploatacji klasy robotniczej, do zrabowania wszystkich jej zdobyczy społecznych i zakucia w dyby niewoli politycznej, lecz także do zrujnowania i zniszczenia warstw pośrednich, drobnego a nawet średniego przemysłu. Praktycznym tego przykładem były rządy hitlerowców w Niemczech, którzy mimo swojej demagogii socjalnej doprowadzili faktycznie do likwidacji dziesiątki i setki tysięcy drobnych warsztatów rze-

mieślniczych i fabryk w interesach monopolistycznego kapitału. Koncentracja kapitału w Niemczech za rządów hitlerowskich odbywała się w niezwykle szybkim tempie i osiągnęła swój szczytowy poziom.

W tym stanie rzeczy w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa przeciwieństwa klasowe między burżuazją a proletariatem zeszły jakby na plan dalszy, a na pierwszy plan wysunęło się przeciwieństwo między garstką monopolistów kapitalistycznych a całym obozem demokracji t. zn. proletariatem, chłopstwem, drobnomieszczaństwem i częścią demokratycznej burżuazji. W takim układzie sił klasowych musiało dojść i w końcu doszło w krajach najbardziej przez faszyzm zagrożonych do zjednoczenia pod groźbą zagłady wszystkich sił demokratycznych — zarówno demokracji proletariackiej jak i mieszczańskiej. Takie było podłoże klasowe jednolitego frontu i frontu ludowego w nowym historycznym okresie walki z faszyzmem.

W zasadniczo zmienionej sytuacji zmienić się musiała i taktyka partii proletariackich, ich stosunek do rządów burżuazyjnych, do demokracji mieszczańskiej. Dawna, słuszna taktyka walki z burżuazją o obalenie kapitalizmu, walki z rządem burżuazyjnym — w zmienionej sytuacji wobec niebezpieczeństwa faszystowskiego, okazała się nieprzydatna i musiała ulec zmianie. W okresie walki z faszyzmem, jako podstawowym niebezpieczeństwem, nie to było najistotniejsze, czy dany rząd jest burżuazyjny, lecz to czy jest on faszystowski, czy antyfaszystowski. Rząd faszystowski należało zwalczać wszystkimi siłami, dążyć do jego obalenia, natomiast rząd antyfaszystowski, lub choćby nie faszystowski, stanowiący pewną przegrodę dla dojścia faszyzmu do władzy, należało popierać w walce z faszyzmem.

Niestety, stwierdzić trzeba, że nie zawsze i nie wszędzie partie proletariackie potrafiły zrozumieć sens klasowy nowego okresu historycznego i dokonać niezbędnego zwrotu taktycznego. Mimo narastającej groźby faszyzmu niektóre partie proletariackie nie potrafiły dość szybko zrozumieć, że głównym niebezpieczeństwem przestała być demokracja mieszczańska, a stał się faszyzm. Charakterystycznym przykładem takiego błędu był plebiscyt w Prusach, przeciwko rządowi socjal-demokratycznemu Brauna i Severinga. Hitlerowcy wystąpili wtedy z inicjatywą plebiscytu przeciwko rządowi socjal-demokratycznemu, a komuniści zamiast podtrzymać ten rząd i stworzyć wspólny front z socjal-demokratami przeciwko hi-

tlerowcom, poparli inicjatywę zmierzającą do obalenia Brauna i Severinga.

Doświadczenie historyczne doprowadziło jednakże wkrótce, zwłaszcza po dojściu Hitlera w Niemczech do władzy, do zrozumienia przez partie proletariackie konieczności wyciągnięcia wszystkich konsekwencji taktycznych w nowej sytuacji politycznej. Praktycznym wyrazem tego było powstanie frontu ludowego we Francji i w Hiszpanii, w krajach najbardziej zagrożonych przez niebezpieczeństwo faszystowskie i utworzenie rządów frontu ludowego w tych krajach. Rządy frontu ludowego różniły się w sposób zasadniczy od wszystkich dotychczasowych rządów w krajach kapitalistycznych. Były to pierwsze próby stworzenia nowego typu rządów, stojących na straży nie interesów burżuazji, lecz reprezentujących interesy szerokich mas ludowych, całego frontu demokratycznego w walce z faszyzmem.

Program tych rządów, które były przedstawicielami frontu ludowego, wszystkich stronnictw antyfaszystowskich zmierzał do usunięcia groźby faszyzmu, do głębokiej demokratyzacji kraju, przewidywał szereg radykalnych reform, skierowanych przeciwko 200 rodzinom, przeciw kapitałowi monopolistycznemu (nacjonalizacja podstawowych gałęzi przemysłu, transportu itp.). Powstanie tych rządów i ich działalność wywołały wściekłą kontrakcję w obozie faszyzmu i reakcji społecznej w skali międzynarodowej. W Hiszpanii doszło do interwencji Hitlera i Mussoliniego, sprzymierzonych z hiszpańskim faszyzmem. We Francji również rząd frontu ludowego nie potrafił długo wytrzymać naporu faszyzmu i reakcji.

W ten sposób pierwsze próby stworzenia i utrzymania rządów ludowych w krajach kapitalistycznych nie udały się. Trzeba było dopiero doświadczeń historycznych drugiej wojny światowej, aby na gruzach faszyzmu stworzyć rzeczywistą władzę ludu.

Druga wojna światowa różniła się w sposób zasadniczy od wszystkich dotychczasowych wojen nie tylko ogromem sił rzuconych do walki i techniką wojenną, lecz przede wszystkim swoim charakterem. Na pierwszy rzut oka mogą uderzać duże podobieństwa z pierwszą wojną światową, w szczególności podobny układ sił walczących. I w pierwszej wojnie światowej trzonem w jednym obozie, w obozie Ententy były: Anglia, Rosja i Stany Zjednoczone, w drugim Niemcy. Jednakże pierwsza wojna światowa była wojną imperialistyczną, to znaczy, że nie było w niej napastników i napadających, a obie strony prowadziły wojnę o swoje imperialistyczne interesy.

W drugiej wojnie światowej tylko blok państw faszystowskich, który wojnę tę rozpętał, walczył o swe imperialistyczne interesy, o zniszczenie państw demokratycznych, o panowanie nad światem — natomiast ze strony bloku państw demokratycznych nie była to wojna imperialistyczna, lecz wojna obronna. Polska, Francja, Anglia, Związek Radziecki i Stany Zjednoczone zostały napadnięte przez zaborczy imperializm niemiecki, zagrażający całemu światu, walczyły w obronie swojej niepodległości i zmuszone były do prowadzenia wojny, której chciały uniknąć. Jedynym ogniskiem wojny, jedynym napastnikiem był blok państw faszystowskich, który dążył konsekwentnie do rozpętania drugiej wojny światowej.

Doświadczenie wykazało, że faszyzm i wojna zaborcza są ze sobą nierozerwalnie związane, że faszyzm prowadzi nieuchronnie do wojny.

Druga wojna światowa była wojną sprawiedliwą, gdyż państwa demokratyczne walczyły o swą wolność i niepodległość, o swoje istnienie, walczyły przeciw faszyzmowi — najgroźniejszej formie reakcji jaką zna historia, największemu wrogowi ludzkości, przeciw barbarzyństwu i wstecznictwu, o postęp, o kulturę, o przyszłość ludzkości. Była to wojna wyzwoleńcza, wojna narodowa, nie tylko dlatego, że narody walczyły o wyzwolenie z pod hitlerowskiego jarzma. Walka o wyzwolenie narodowe splatała się nierozerwalnie z walką o wyzwolenie społeczne ludu, o wyzwolenie z niewoli ekonomicznej i politycznej kliki faszystowskiej, kliki monopolistycznego kapitału. Albowiem walka z faszyzmem jest i musi być równocześnie walką przeciwko wielkim kapitalistom, których polityczną metodą rządzenia jest faszyzm. Nie można zniszczyć faszyzmu nie zniszczywszy ekonomicznych podstaw jego istnienia, trustów, karteli, kapitału finansowego itd. Wojna z faszyzmem musiała się stać i istotnie stała się wojną ludów.

Główny ciężar walki z faszyzmem, walki z okupantem wziął na siebie w każdym kraju lud, reakcja natomiast walkę tę sabotowała i utrudniała. Obszarnicy i wielcy kapitaliści, rodzimi faszyści w każdym kraju przechodzili z reguły na stronę wroga, pomagali mu w ciemiężeniu swego własnego narodu. Walka z okupantem wiązała się więc nierozerwalnie z walką przeciwko własnej reakcji, przeciwko obszarnikom i wielkim kapitalistom, przeciwko rodzimemu faszyzmowi. Taka wojna, wojna sprawiedliwa, wojna wyzwoleńcza, wojna ludów musiała mieć i istotnie miała charakter rewolucyjny i doprowadzić musiała do zasadniczych, głębokich przeobrażeń ekonomicznych, politycznych i społecznych. W ogniu tej największej

wojny, jaką zna historia, spaliły się, skruszyły stare formy społeczne. W ogniu tej wojny wyrosła i zahartowała się nowa formacja społeczna — demokracja ludowa. Zarodki, zasadnicze tendencje rozwoju tej nowej formy społecznej widoczne były już i przed wojną. Lecz podstawy nowego ustroju utrwalają się dopiero w wielkiej wojnie z faszyzmem, która odegrała tutaj rolę taką, jaką normalnie w dziejach odgrywa rewolucja społeczna. Stała się ona nie tylko grabarzem faszyzmu, lecz dopomogła w narodzinach nowego ustroju demokracji ludowej. Już przed wojną były próby i wysiłki stworzenia bloku państw demokratycznych w obronie pokoju, cywilizacji i kultury, lecz dopiero w ogniu wojny blok ten wykuł się, scementował i dziś stał się podstawą międzynarodowej organizacji świata, gwarancją pokoju i bezpieczeństwa narodów. Już przed wojną były wysiłki stworzenia frontu ludowego i w niektórych krajach cel ten został osiągnięty. Lecz okazały się one nietrwałe i dopiero w ogniu wojny, front ludowy, front narodowy scementował się wszędzie i utrwalił. Dziś w krajach wyzwolonych z okupacji niemieckiej stał się podstawą społeczną nowego ustroju, podstawą, gwarancją wolności i rozwoju narodów. Już przed wojną powstawały rządy frontu ludowego, lecz nie mogły się utrzymać i dopiero wojna stworzyła podstawy dla nowej formy władzy — władzy ludu. Wiosna 1945 roku, wiosna zwycięstwa nad faszyzmem stała się więc prawdziwą wiosną ludów, wiosna rozpoczynającą nową erę w dziejach ludzkości, erę demokracji ludowej.

Jaki jest charakter klasowy nowego ustroju — demokracji ludowej?

Aby odpowiedzieć na to pytanie najlepiej będzie zanalizować ustrój dzisiejszej Polski. Nie tylko dlatego, że jest to przykład dla nas najbliższy, lecz również i dlatego, że właśnie w Polsce nowy ustrój wystąpił bodaj w najpełniejszej, najwyrazistszej formie. Nowe procesy społeczne skrystalizowały się bowiem najszybciej i rozwinęły najpełniej tam, gdzie walka z faszyzmem była najostrzejsza, w tych krajach, gdzie masy ludowe przed wojną jeszcze zagrożone były przez niebezpieczeństwo rodzimego faszyzmu, a w czasie wojny przeszły przez okupację hitlerowską. Do takich krajów należała niewątpliwie Polska i Jugosławia.

Jakież zatym nastąpiły w naszym kraju przeobrażenia społeczne po zwycięstwie nad faszyzmem? Przede wszystkim nastąpił głęboki przewrót stosunków społecznych na roli — przeprowadzona została po raz pierwszy w Polsce radykalna reforma rolna na korzyść chłopa. Demokracja ludowa uznała za

swój pierwszy obowiązek społeczny naprawienie odwiecznej krzywdy chłopskiej, dokonała tego, co w innych krajach rewolucja burżuazyjno-demokratyczna dokonała już znacznie wcześniej. Lecz spełniła to gruntowniej i radykalnej, niż jakakolwiek reforma rolna w krajach burżuazyjnych. Żadna bowiem rewolucja burżuazyjna, począwszy od wielkiej rewolucji francuskiej, żadna najradykalniejsza reforma rolna w krajach kapitalistycznych, nie doprowadziła do całkowitego wywłaszczenia obszarników, do likwidacji obszarników jako klasy — tak jak dokonane to zostało u nas. A fakt ten posiada ogromne, historyczne znaczenie. Trzeba było dopiero najtragiczniejszych w naszych dziejach doświadczeń historycznych, trzeba było dopiero, by lud w Polsce po raz pierwszy doszedł do władzy, aby wykarczować, wykorzenić nareszcie wszystkie ślady przeżytków feodalnych, przeżytków magnaterii obszarniczej i szlachetczyzny, które tak fatalnie ciążyły nad losami naszego narodu.

Polska nie przeszła w swej historii przez oczyszczający ogień rewolucji burżuazyjnej, rewolucji agrarnej. Wszystkie reformy rolne w XIX wieku przeprowadzali u nas zaborcy i przeprowadzali mając na widoku nie interesy chłopów, ale wzmocnienie swojej władzy. W Polsce niepodległej po 1918 roku demokracja burżuazyjna nie chciała i nie potrafiła przeprowadzić radykalnie rewolucyjnej reformy agrarnej na korzyść chłopa, nie chciała i nie potrafiła wykarczować tragicznej spuścizny naszej historii, spuścizny 150-letniej niewoli — ograniczyła się tylko do półśrodków jakimi była reforma rolna 1920 roku. Dlatego Polska była krajem społecznie zacofanym, o wielkich przeżytkach feodalnych, dlatego w Polsce obszarnicy, posiadacze ogromnych majątków i latyfundiów, byli jedną z głównych podpór reakcji i faszyzmu i posiadali wielki wpływ na całokształt polityki zagranicznej i wewnętrznej. Dookoła bowiem reakcji wielkokapitalistycznej — faszyzmu grupowało się wszystko, co było w społeczeństwie zacofane, wszystkie ciemne siły, wszystkie przeżytki minionych formacji społecznych. Dlatego reakcja wielkokapitalistyczna i reakcja feodalna wszędzie łatwo znajdowały wspólny język i łączyły swe siły do walki z ludem, do uciemiężenia ludu.

Pierwszym krokiem zwycięskiej demokracji ludowej w Polsce musiało być więc przeprowadzenie radykalnych, rewolucyjnych przemian w istocie swojej o charakterze burżuazyjno-demokratycznym, lecz przeprowadzenie ich konsekwentnie i do końca. W ten sposób zlikwidowane zostały raz na zawsze i ostatecznie wszystkie przeżytki naszej feodalnej, obszarniczej przeszłości. Polska Demokracja ludowa dokonała ogromnego

skoku naprzód, nadrabiając zacofanie ostatnich wieków. Ziemia w rękach obszarników była źródłem zacofania naszej gospodarki rolniczej, była główną przyczyną nędzy i ciemnoty polskiego chłopa. Likwidacja obszarnictwa, podział ziemi obszarniczej między chłopów staje się źródłem wspaniałych możliwości naszej wsi — ekonomicznego i kulturalnego jej rozwoju. Ziemia w rękach obszarników była podstawą ich władzy i ich wpływów w państwie — ziemia w rękach chłopów stała się podstawą władzy ludu.

Jeszcze głębsze zmiany strukturalne w naszej gospodarce narodowej niż reforma rolna na wsi wywołało znacjonalizowanie wielkiego i średniego przemysłu, banków, transportu itd. Wykracza to daleko poza ramy przekształceń burżuazyjno-demokratycznych i dlatego nie było do pomyślenia w krajach kapitalistycznych przed wojną. Wprawdzie program frontu ludowego we Francji przewidywał nacjonalizację podstawowych gałęzi przemysłu, jednakże praktyczne przeprowadzenie tego programu napotkało na nieprzezwyciężone przeszkody. Po wojnie natomiast, po zwycięstwie nad faszyzmem, nacjonalizacja wielkiego i średniego przemysłu stała się powszechnym postulatem mas ludowych we wszystkich krajach i to postulatem wprowadzanym mniej lub bardziej konsekwentnie w czyn. Mniej konsekwentnie w krajach o wysokim rozwoju kapitalizmu, lub tam, gdzie walka z faszyzmem nosiła mniej ostry charakter, a bardziej konsekwentnie w takich krajach, jak Polska i Jugosławia. O powszechności tego procesu po drugiej wojnie światowej świadczy fakt, że nawet w Anglii sprawa nacjonalizacji kluczowych gałęzi przemysłu stoi na porządku dziennym jako jedno z podstawowych i palących zagadnień. Pod tym hasłem zwyciężyła w wyborach partia pracy. Nacjonalizacja wielkiego przemysłu jest prostą konsekwencją zwycięstwa demokracji nad faszyzmem — a więc zwycięstwa ludu nad kliką monopolistów kapitalistycznych.

Bez odebrania tej klice trustów, karteli, banków, fabryk itd. i przekazania ich ludowi, nie możliwe byłoby zbudowanie i utrwalenie podwalin ekonomicznych nowego świata — demokracji ludowej, nie możliwa byłaby odbudowa i rozwój gospodarczy krajów zniszczonych przez wojnę. Bez zlikwidowania garstki wielkich kapitalistów niebezpieczeństwo odrodzenia faszyzmu wisiało by stale nad narodami. Wyrwać faszyzm z korzeniami, to znaczy przede wszystkim znacjonalizować kluczowe gałęzie gospodarki.

W Polsce rozwój kapitalizmu rozpoczął się późno, znacznie później niż w krajach zachodniej Europy i został przez panu-

jące u nas warunki gospodarcze i polityczne wykoślawiony. Kapitalizm rozwijał się pod trzema zaborami w różny sposób. O jego rozwoju decydował nie interes narodu, lecz interesy zaborców, interesy garstki wielkich kapitalistów. Tym późnym i nienormalnym rozwojem kapitalizmu w naszym kraju tłumaczy się fakt, że mimo zacofania naszego rozwoju przemysłowego nastąpił dość szybki proces koncentracji i centralizacji kapitału, co doprowadziło do znacznego skartelizowania i zmonopolizowania naszego przemysłu. Tym się również tłumaczy znaczny udział w naszej gospodarce narodowej kapitału obcego, w szczególności kapitału niemieckiego. Kapitalizm monopolistyczny — to kapitalizm gnijący, pasożytniczy, nie rozwijający, a hamujący rozwój gospodarczy narodu. Wyeliminowanie konkurencji, monopolizacja jakiejś gałęzi przemysłu prowadzić musi i prowadzi do dyktowania przez wielkich kapitalistów, w których rękach dana gałęź przemysłu się znalazła, zarówno cen towarów jak i warunków pracy i płacy.

Posiadając w swych rękach wszystkie zakłady pracy danej gałęzi przemysłu, skartelizowani kapitaliści utrzymują tylko te, które są dla nich najbardziej rentowne, a zamykają wszystkie, które im dają mniej zysku.

Panowaniem kapitału monopolistycznego wyjaśnić można takie słynne dysproporcje w naszym życiu gospodarczym przed wojną, jak wysokie ceny na skartelizowane artykuły przemysłowe, słynne nożyce między cenami na produkty przemysłowe, a produkty rolne, takie fakty, jak niezwykle wysokie ceny cukru w kraju, a eksport tegoż cukru po cenach kilkakrotnie niższych do Anglii dla świń.

Tym faktem objaśnić można masowe zamykanie fabryk, kopalń, hut, wciąż zwiększające się bezrobocie, zastój w rozwoju naszego przemysłu, tu kryje się główna przyczyna spychania klasy robotniczej na coraz niższy poziom i zaostrzania się walki klasowej.

Cień Lewiatana zaciążył fatalnie na losach naszego narodu, stał się hamulcem rozwoju gospodarczego Polski, nie pozwolił nadrobić zacofania ekonomicznego, które otrzymaliśmy w spadku po zaborcach. Dlatego Polska była krajem społecznie i ekonomicznie zacofanym, dlatego w Polsce stopa życiowa była jedną z najniższych w Europie, dlatego w Polsce panowała nędza, głód i bezrobocie, dlatego w Polsce masy robotnicze pozbawione były praw politycznych, dlatego w Polsce wielcy kapitaliści byli główną oporą reakcji i faszyzmu, dlatego jednym z pierwszych posunięć demokracji ludowej po zwycięstwie nad faszyzmem, po wyzwoleniu kraju, było przejęcie podsta-

wowych gałęzi przemysłu przez lud, aby służyły one nie interesom garstki wielkich kapitalistów, nie interesom Lewiatana, lecz interesom narodu.

W ten sposób Polska dokonała ogromnego skoku naprzód, nadrabiając zacofanie gospodarcze ostatniego stulecia. Kartele, trusty, banki w rękach wielkich kapitalistów - monopolistów były źródłem zacofania naszej gospodarki. Wielki przemysł znacjonalizowany w rękach ludu, w rękach klasy robotniczej stał się źródłem i gwarancją szybkiej odbudowy naszego kraju, wspaniałych możliwości rozwojowych naszej gospodarki. Dzięki nacjonalizacji przemysłu udało się nam wyprzedzić inne kraje w tempie pracy nad odbudową zniszczeń, wywołanych wojną i okupacją, nad rekonstrukcją naszego życia gospodarczego. Kartele, trusty, banki w rękach wielkich kapitalistów były podstawą ich władzy, przemysł znacjonalizowany, przemysł w rękach mas pracujących stał się podstawą władzy ludu.

Demokracja ludowa, to nowy typ ustroju społecznego, nowy typ państwa. Jeśli demokracja mieszczańska stała przede wszystkim na straży interesów mniejszości, interesów jednej klasy — burżuazji, to demokracja ludowa reprezentuje interesy znacznej większości społeczeństwa, interesy ludu. W interesach ludu przeprowadziła reformę rolną na wsi, w interesach ludu unarodowiła wielki i średni przemysł, w interesach ludu prowadzi politykę zagraniczną i wewnętrzną.

Nie oznacza to jednakże, że te dwa typy ustrojowe, dwa typy państw — demokracja mieszczańska i demokracja ludowa są sobie zasadniczo przeciwstawne, tak jak zasadniczo przeciwstawne są kapitalizm i socjalizm. Współpraca państw typu ludowo-demokratycznego i mieszczańsko-demokratycznego była i jest nie tylko możliwa lecz konieczna w interesach międzynarodowego pokoju, demokracji, bezpieczeństwa.

Współpraca partii i ugrupowań typu ludowo-demokratycznego i mieszczańsko-demokratycznego była i jest nie tylko możliwa lecz konieczna w interesach narodu. Demokracja ludowa nie odrzuca i nie niszczy dorobku demokracji mieszczańskiej Nie tylko przejmuje wszystkie zdobycze demokratyczne, wszystko co w niej jest postępowe, lecz utrwala je, rozwija i rozszerza. Odrzuca tylko to, co jest w niej niedemokratyczne i niepostępowe.

Mówiliśmy już o rozwoju swobód demokratycznych w demokracji ludowej, dając za przykład wolność prasy. W krajach typu burżuazyjno-demokratycznego istnieje niewątpliwie wolność prasy, ale jeśli temu zagadnieniu przypatrzeć się bliżej,

to dojdzie się do przekonania, że jest to wolność dość swoista i ograniczona. Przecież ogromna większość organów prasowych znajduje się w rękach konsorcjów kapitalistycznych i rzecz jasna, że organy te redagowane i prowadzone są w ten sposób, jak to dogodne i potrzebne jest temu konsorcjum kapitalistycznemu, który je finansuje. I jeżeli naprzykład w Stanach Zjednoczonych, by założyć samodzielny organ prasowy, trzeba mieć zawrotną sumę, miliony dolarów, to jasna rzecz, że mało może być takich organów prasowych, w których można pisać zgodnie z wolą i interesami ludu, i że prasę ma w swych rękach i może kształtować opinię publiczną ten, kto ma pieniądze. Natomiast u nas ugrupowanie społeczne i polityczne, za wyjątkiem reakcyjnych i faszystowskich, może posiadać i posiada swoje organy prasowe i ma pełną możliwość i swobodę obrony swoich interesów klasowych. I istotnie wachlarz partyjny naszej prasy jest bardzo szeroki i polemika prasowa bardzo ożywiona. Dlatego śmieszne i tendencyjne muszą się wydawać zarzuty, stawiane przez niektóre koła w zachodniej Europie, że nie ma u nas wolności prasy i swobód demokratycznych. Dla każdego nieuprzedzonego człowieka jasne jest. że porównanie wolności prasy u nas i np. w Anglii napewno nie wyjdzie na korzyść tej ostatniej.

Weźmy jeszcze zagadnienie równości — jedno z kardynalnych praw demokratycznych. Demokracja ludowa niewątpliwie i tu zrobiła znaczny krok naprzód w stosunku do demokracji mieszczańskiej. Jaka mogła być równość pomiędzy obszarnikiem, posiadaczem tysięcy hektarów ziemi i małorolnym chłopem lub robotnikiem rolnym? Demokracja ludowa, likwidując klasę obszarników i dzieląc ziemię obszarniczą pomiędzy chłopów i robotników rolnych, w znacznym stopniu zmniejszyła te krzyczące nierówności położenia społecznego i gospodarczego na wsi, choć ich nie zlikwidowała. Jakaż mogła być równość pomiędzy wielkim kapitalistą, zatrudniającym tysiące robotników, a tymi robotnikami?

Demokracja ludowa, likwidując wielkich kapitalistów i oddając fabryki w ręce państwa, w ręce ludu, niewątpliwie przyczyniła się do zmniejszenia tych krzyczących nierówności w położeniu społecznym, choć nie zlikwidowała ich. Jednakże nowa demokracja, rozwijając i rozszerzając swobody i prawa. daje je „tylko" ludowi, to znaczy ogromnej większości społeczeństwa. Nie daje jej i nie da wrogom ludu. Nie ma w demokracji ludowej wolności dla faszystów i reakcjonistów rozbijania i niszczenia tego, co lud w krwawej walce zdobył. Nie ma w demokracji ludowej miejsca dla pobłażania, dla libera-

lizmu wobec wrogów ludu. I to jest jedną z zasadniczych różnic pomiędzy demokracją mieszczańską i demokracją ludową.

Demokracja ludowa, to nowy typ państwa, to władza ludu.

Aby władzę tę sprawować, lud musiał stworzyć swoje organy władzy.

Dawne formy parlamentarnej demokracji okazały się niewystarczające i musiały być w nowych warunkach uzupełnione i rozwinięte przez nowe formy. Formy te, nowe organy władzy, lud istotnie stworzył i powołał do życia. W Polsce są nimi Rady Narodowe. Rady Narodowe i Krajowa Rada Narodowa powstały w czasie okupacji jako organy ludowe walki z faszyzmem, jako zarodek nielegalnego wtedy, podziemnego państwa. Po zwycięstwie nad faszyzmem, znalazły się więc już gotowe formy państwowe, wyłonione, wykute i wypróbowane przez lud w walce z faszyzmem. W okresie okupacji Rady Narodowe, mobilizowały masy ludowe do walki z okupantem i walką tą kierowały. Po zwycięstwie nad faszyzmem Rady Narodowe, jako organ władzy ludu, aktywizują najszersze masy społeczeństwa, mobilizują je do odbudowy kraju, do utrwalenia demokracji, do spełnienia wszystkich podstawowych zadań, które stoją przed naszym narodem.

Rady Narodowe skupiają dokoła siebie najszersze masy, wciągają je do twórczej pracy, do współrządzenia państwem. Okres obecny cechuje niezwykła aktywność szerokich mas ludowych. Władzę ludu czuje się wszędzie. Robotnik jest gospodarzem na fabryce i pracuje tak, jak się pracuje dla siebie, dla swego państwa mimo, że wymaga to od niego wielu ofiar i wyrzeczeń. Daje z siebie wszystko, by jak najprędzej odbuwać przemysł, by jaknajwięcej i jaknajlepiej produkować. Dyrektorami fabryk, coraz częściej są robotnicy, organy robotnicze (Rady zakładowe) sprawują kontrolę nad produkcją, nad warunkami pracy i płacy.

Nie mniejsza aktywność cechuje również wieś. Przykładem tego może być reforma rolna. Takie organy władzy, jak urzędy ziemskie, w których dużo było biurokratów starego typu, okazały się nieprzydatne do jej przeprowadzenia. Reforma rolna ruszyła wtedy z miejsca, gdy chłopi wzięli tę najżywotniejszą dla siebie sprawę w swoje twarde ręce, stworzyli własne organy i sami zaczęli dzielić ziemię obszarniczą.

Dziś chłop, który ziemię tę otrzymał, czuje się współgospodarzem państwa, pracuje tak, jak się pracuje dla siebie, mimo, że nieraz wymaga to od niego wielu ofiar i wyrzeczeń.

Demokracja ludowa, wciągając w ten sposób najszersze masy do rządzenia państwem, potrafiła wyzwolić skrępowane dotychczas ogromne siły i zapasy energii, entuzjazmu i zdolności twórczych mas pracujących. I to jest głównym źródłem jej siły trwałości i rozwoju.

Po tej pobieżnej nawet analizie charakteru klasowego demokracji ludowej możemy odpowiedzieć na pytanie, które często ludzie sobie zadają: czy w Polsce jest dziś kapitalizm? Jasne jest, że ustrój, w którym podstawowe gałęzie przemysłu znajdują się w rękach nie wielkich kapitalistów, lecz państwa, ustrój, w którym zlikwidowana została klika kapitału monopolistycznego, w którym zlikwidowana została klasa obszarników, ustrój, w którym władzę sprawuje nie burżuazja lecz lud, nie jest już ustrojem kapitalistycznym.

Czy więc w Polsce jest ustrój socjalistyczny? I na to pytanie musi paść odpowiedź przecząca. Są zasadnicze różnice pomiędzy ustrojem socjalistycznym a demokracją ludową.

Ustrój socjalistyczny powstał na gruzach kapitalizmu, po zniszczeniu przez rewolucję socjalistyczną podstaw ustroju kapitalistycznego.

Demokracja ludowa powstała na gruzach faszyzmu jako wynik walki z kliką kapitału monopolistycznego. W walce tej zniszczone zostały podstawy nie kapitalizmu, lecz podstawy kapitału monopolistycznego. Dlatego w Polsce obok znacjonalizowanych gałęzi przemysłu, istnieją dziesiątki tysięcy i setki tysięcy drobnych i średnich warsztatów pracy w rękach prywatnych przedsiębiorców, w rękach rzemieślników i kapitalistów. W handlu widzimy znaczną przewagę inicjatywy prywatnej. Nie jest to bynajmniej jakiś stan tymczasowy — lecz wynika on z podstaw nowego ustroju społecznego. W ustroju tym obok znacjonalizowanego wielkiego przemysłu jest miejsce i są możliwości rozwojowe dla rzemieślnika, kupca, drobnego kapitalisty. Co więcej — współpraca inicjatywy prywatnej jest konieczna dla odbudowy zniszczonego kraju i jest przez państwo popierana. To właśnie organiczne współżycie i współpraca dwóch systemów gospodarczych: z jednej strony znacjonalizowanego wielkiego przemysłu, z drugiej strony inicjatywy prywatnej, równowaga pomiędzy nimi, stanowi specyfikę nowego ustroju.

Niemniej zasadnicze różnice widzimy w stosunkach panujących na wsi. Podstawą gospodarki socjalistycznej na wsi jest gospodarka kolektywna, natomiast podstawą gospodarki

na wsi polskiej jest indywidualna gospodarka chłopska. Po przeprowadzeniu reformy rolnej, po likwidacji obszarników cała ziemia znalazła się w rękach chłopów i typową formą gospodarki jest całe 5-cio hektarowe gospodarstwo chłopskie. Tego stanu rzeczy nie należy uważać za przejściowy. Ma on głębokie uzasadnienie w naszej nowej strukturze gospodarczej i rząd nasz dał temu niejednokrotnie wyraz odżegnując się w sposób zdecydowany od kolektywizacji na wsi.

Jednakże nasza gospodarka wiejska różni się poważnie od przedwojennej gospodarki typu małorolnego. Cechowało ją dawniej niezorganizowanie i techniczne zacofanie. Dziś na wsi polskiej widoczne są wyraźne próby usunięcia strukturalnych wad małorolnej wsi, nadanie gospodarce bardziej zorganizowanego charakteru przez kontrolę Państwa, przez spółdzielnie wiejskie, przez udostępnienie, umożliwienie małorolnej wsi używania traktorów, maszyn rolniczych itd. W naszych oczach wyrasta nowa wieś polska, oparta na nowych podstawach, wyłaniają się nowe formy organizacyjne na wsi (jak Samopomoc Chłopska). Charakterystyczną cechą struktury gospodarczej nowej wsi jest mocne oparcie jej na indywidualnej gospodarce chłopskiej z równoczesnym wprowadzeniem organizacyjnego ładu i technicznego postępu.

Jest to droga nowa, droga swoista, dotąd w historii nie spotykana i to stanowi o specyficznym charakterze nowego ustroju, nowych stosunków na wsi w demokracji ludowej.

Zasadnicze różnice między socjalizmem a demokracją ludową widzimy nie tylko w strukturze ekonomicznej, lecz i w nadbudowie politycznej, w Państwie. Państwo socjalistyczne powstało po obaleniu kapitalizmu na jego gruzach, to Państwo proletariackie, to dyktatura proletariatu. Dyktatura proletariatu jest to okres przejściowy, po obaleniu burżuazji, w którym proletariat w sojuszu z chłopstwem sprawuje władzę nieograniczoną i niepodzielną celem zgniecenia oporu klas posiadających i zbudowania socjalizmu.

Dyktatura proletariatu jest dyktaturą tylko dla znikomej mniejszości, tylko dla wrogów socjalizmu. Dla olbrzymiej większości, dla mas pracujących, jest demokracją proletariacką. Demokracją taką, o jakiej myśleli, do jakiej dążyli proletariusze wszystkich krajów w okresie kapitalizmu. Dopiero w socjalizmie, gdy wszystkie środki produkcji przedtem zmonopolizowane w rękach burżuazji — przechodzą w ręce ludu, gdy znika przymus ekonomiczny dla mas pracujących, człowiek może się stać naprawdę wolny.

Dopiero po obaleniu kapitalizmu, po zlikwidowaniu nierówności kapitalistycznych, po zniesieniu klas, ludzie mogą być naprawdę równi. Dopiero po likwidacji kapitalizmu, po likwidacji walki klasowej, źródeł wojen i rewolucji, może pomiędzy ludźmi zapanować naprawdę braterstwo.

Wolność, równość i braterstwo, te kardynalne hasła demokratyczne, które lud szturmujący Bastylię wypisał na swych sztandarach, mogły być po raz pierwszy w pełni zrealizowane i zostały zrealizowane przez zwycięski proletariat po obaleniu kapitalizmu, przez demokrację proletariacką.

Państwo w demokracji ludowej nie jest dyktaturą proletariatu, nie jest więc i demokracją proletariacką.

Po zwycięstwie demokracji nad faszyzmem władzę w swoje ręce bierze cały lud. Demokracja ludowa to taki typ państwa, w którym proletariat dzieli władzę z innymi klasami społecznymi, z całym ludem, t. zn. z chłopstwem, drobnomieszczaństwem, inteligencją pracującą i z demokratyczną częścią burżuazji. W tym okresie proletariat nie dąży bezpośrednio do realizacji swych klasowych celów, do budowy socjalizmu, lecz wraz z całym ludem dokonuje przekształceń ludowo-demokratycznych, kładzie podwaliny nowego ustroju demokracji ludowej, wznosi nowy gmach, którego współgospodarzami są sojusznicy proletariatu w walce z faszyzmem — chłopstwo, drobnomieszczaństwo, inteligencja pracująca, demokratyczna część burżuazji. Jest to nowy typ państwa, nowy typ władzy, w historii dotychczas jeszcze nie spotykany.

Nowy typ państwa demokratycznego, w którym proletariat dzieli władzę ze swymi sojusznikami, powstał dopiero po zwycięstwie demokracji nad faszyzmem w okresie demokracji ludowej. Demokracja ludowa, jak widzimy, różni się poważnie zarówno od demokracji mieszczańskiej, jak i proletariackiej. Nie jest to ani kapitalizm, ani socjalizm. Jest to nowy swoisty typ ustroju, nowy swoisty typ Państwa.

Jakie są więc perspektywy dalszego rozwoju demokracji ludowej? Czy stoimy w obliczu nowych wojen, nowych rewolucji socjalistycznych, czy też mamy przed sobą pokojową drogę dalszego rozwoju?

Druga wojna światowa, wojna wyzwoleńcza, wojna ludów doprowadziła w rezultacie do zniszczenia faszyzmu, do zniszczenia imperializmu faszystowskiego, zagrażającego całemu światu.

Podstawą tej pokojowej organizacji jest współpraca i jed-

ność państw demokratycznych. Braterstwo broni i jedność państw demokratycznych w walce z faszyzmem doprowadziły do zwycięstwa, do zlikwidowania faszyzmu.

Jeżeli antyfaszystowska demokratyczna jedność i współpraca zostanie utrzymana, a musi być utrzymana w interesach całej ludzkości, to istnieją wszelkie szanse, że druga wojna światowa — była ostatnią wojną światową i, że demokracja ludowa rozpocznie nową erę, erę pokojowego rozwoju ludzkości.

Po zwycięstwie nad faszyzmem w szeregu krajach do władzy doszedł lud. Wraz z faszyzmem, wraz z kapitałem monopolistycznym usunięta została raz na zawsze w tych krajach groźba panowania ciemiężców ludu. Podstawowym zadaniem wewnętrznym, które stoi przed tymi narodami, jest jaknajszybsza odbudowa swoich krajów, stworzenie podstaw jaknajszybszego ekonomicznego, politycznego i kulturalnego rozwoju narodów. Podwaliny nowego gmachu buduje dla siebie cały lud. Tylko wspólnym wysiłkiem całej demokracji ten cel można osiągnąć, tylko wspólnym wysiłkiem można pokonać piętrzące się trudności, pokonać opór reakcji, niedobitków faszyzmu.

Gwarancją realizacji tego celu, podstawą trwałości tego gmachu demokracji ludowej jest więc jedność demokratyczna, jedność wykuta w walce z faszyzmem, pokój wewnętrzny demokracji. Jedność proletariatu, jego współpraca ze wszystkimi sojusznikami klasowymi w budowaniu demokracji ludowej.

Jeśli ta jedność demokratyczna zostanie utrzymana, a musi być utrzymana w interesie narodu — to istnieją wszystkie szanse, że demokracja ludowa będzie okresem pokojowego wewnętrznego rozwoju, że unikniemy nowych wstrząsów wewnętrznych i rewolucji.

Od demokracji mieszczańskiej nie było i nie mogło być pokojowej drogi do socjalizmu. Teoria pokojowego przerastania w socjalizm, głoszona przez niektóre oportunistyczne odłamy ówczesnego ruchu socjalistycznego, musiała wówczas zbankrutować. Dziś jest inaczej. Dziś istnieje pokojowa droga od demokracji ludowej do socjalizmu. Dziś istnieje możliwość pokojowego przerastania demokracji w socjalizm. Możliwość... jeśli proletariat okaże się dość zwarty i silny, by skupić dokoła siebie większość narodu i wraz z całym narodem pójdzie po drodze dalszej demokratyzacji, wykona te zadania, które stawia przed nami historia w nowym okresie, w okresie demokracji ludowej. Na tę drogę klasa robotnicza, awangarda narodu, wstąpiła niezłomnie i nie ma takiej siły, któraby ją potrafiła z tej drogi zawrócić.

WITOLD WUDEL

Naderwane pęta

Druga wojna światowa obnażyła stare i wyłoniła nowe zagadnienia kolonialne. Już nie chodziło w tej walce o życie pierwszym wśród równych sobie imperialistów. Już nie chodziło o normalną kolonizację czy uzależnienie w razie klęski. Hitleryzm, aprobując i stosując stare formy wyzysku kolonialnego, stworzył ponad to nowe formy imperializmu w postaci hitlerowskiej kolonizacji samej Europy. Chodziło tu o stare cywilizowane narody, wobec których musiały zawieść wszelkie dotychczasowe metody kolonizacyjne. Istotą kolonizacji dotychczasowej było uzależnienie polityczne i gospodarcze celem ekonomicznego wyzysku. Hitlerowska koncepcja imperializmu polegała nie tylko na wyzysku ekonomicznym. Podbity naród, aby być wyzyskiwany, musi egzystować. Tymczasem zasadą kolonizacji hitlerowskiej przynajmniej poważnej części Europy było kolonizowanie ziemi, a nie ludzi. Narody podbite miały być zniszczone lub wysiedlone. Dlatego w drugiej wojnie światowej Narody Zjednoczone (prócz USA) broniły nie tylko demokratycznych form swego ustroju politycznego, lecz samego swego istnienia narodowego w ogóle. Dopiero na drugim planie stała bądź to obrona demokratycznych zdobyczy mas pracujących: legalnych związków zawodowych, partyj robotniczych i parlamentów reprezentacyjnych; bądź to obrona sowieckich zdobyczy gospodarczych i socjalnych, rządzącej partii robotniczej i Sowietów robotników, chłopów i inteligencji pracującej. Tak więc druga wojna światowa nie była wojną imperialistyczną z obydwu stron, lecz tylko z jednej strony świadomie zbójecką wojną imperialistyczną, a z drugiej wolnościową wojną o samo istnienie narodów. Była więc po pierwsze wojną o demokratyczne formy życia narodów. Faszystowski imperializm w oparciu o kastowo arystokratyczną zasadę wodzostwa, pogrążający demokrację i likwidujący wszelkie społeczno - wyzwoleńcze dążenia pracujących, już nie tylko chciał nowego przetasowania wpływów światowych i kolonij, lecz miał na celu germańską nadkolonizację Europy i kolonizację świata.

Hitleryzm nie zdołał pokazać swej kolonizacji typu pozaeuropejskiego wobec ludów kolonialnych. To co pokazał, ujarzmiając dwadzieścia kilka ludów Europy, wystarczyło, by

przerazić nawet część samych kapitalistów nieograniczonymi kryminalnymi perspektywami totalizmu. Tak więc podczas drugiej wojny światowej reakcyjny ciemiężca i rewolucyjny niepodległościowiec spotykali się oko w oko nie tylko na ulicach Calcutty i Soerabayi, lecz także Warszawy, Paryża i dwudziestu innych stolic europejskich.

Długa i ofiarna wojna narodów europejskich o nagą egzystencję, wolność narodową i demokrację polityczną zmieniła zarówno układ sił międzynarodowych, osłabiła nazewnątrz i nawewnątrz metropolie, wzmocniła i rozpaliła ogień walki ludów kolonialnych o rzeczywistą niepodległość i międzynarodowe równouprawnienie ludów.

W związku z tym wojna pobudziła ludy kolonialne do wzmocnienia i zaostrzenia walki o wyzwolenie narodowe nazewnątrz i o demokrację polityczną nawewnątrz krajów podbitych, czy uzależnionych. Dostatecznie ilustruje to bezpośrednie przejście wojny przeciw faszyzmowi w Azji w wojnę wyzwoleńczą Indonezji i Indochin, wzniesienie narodowo - rewolucyjnej fali Indyj, Egiptu i wzrost nieprzejednanego oporu niepodległościowego Korei, Filipin, Marokka, wzrost solidarności międzynarodowej ludów kolonialnych, wyższa świadomość narodowa obudzona skandaliczną plajtą pseudo-obrony kolonij przed agresją faszystowską Berlina i Tokio. Indie, sama podstawa całego władztwa kolonialnego, nie tylko odrzuciły statut dominialny na mocy rezolucji Kongresu, ale weszły na drogę rewolucyjnej walki z woli samych mas. A Indie zdecydują nieodwołalnie o tym czy system kolonialny stanie się muzealnym zabytkiem w ciągu trzech, czy trzydziestu lat.

Z trzech czołowych metropolij świata Anglii, Francji, Holandii tylko jedna Anglia posiada armię zdolną utrzymać kolonie siłą zbrojną. Ani Francja, ani Holandia, rozbite przez hitleryzm, po wyzwoleniu przez Narody Zjednoczone, takiej siły zbrojnej nie posiadają.

Wojna w wyniku zwycięstwa nad faszyzmem rozbiła imperia kolonialne Japonii i Italii. Zagadnienie demokratycznego uregulowania losu kolonij pomandatowych i pofaszystowskich stanęło w całej ostrości przed Organizacją Narodów Zjednoczonych. W wyniku rewolucyjnej akcji niepodległościowej kolonij krajów sprzymierzonych zagadnienie demokratycznego uregulowania losu wszystkich kolonij zaczyna wymagać upowszechnienia i sprecyzowania form uniepodległościowienia kolonij w ramach Systemu Opieki, lub nawet w sposób przyspieszony poza nią.

Wojna w wyniku zwycięstwa, będącego dziełem trzech

wielkich mocarstw, a w głównej mierze Związku Radzieckiego wysunęła w postaci Związku Radzieckiego i Chin dwie nowe siły uczestniczące odtąd w sposób zasadniczy w kształtowaniu stosunków międzynarodowych, a więc i stosunków kolonialnych. Po raz pierwszy na świecie w zespole trzech decydujących mocarstw światowych zaczęło być reprezentowane stanowisko socjalistyczne, a w zespole pięciu decydujących mocarstw stanowisko wczorajszego kraju kolonialnego. A stanowisko socjalistyczne oznacza jasne i efektywne poparcie jaknajprędszego przyznania wszystkim dojrzałym ludom kolonialnym równych praw i pełnej niepodległości politycznej, ponadto pomocy gospodarczej (Mołotow w San Francisco, Stalin w prasie).

Wojna osłabiła gruntownie pozycje międzynarodowe mocarstw kolonialnych w ogólnym układzie sił światowych. Po pierwszej wojnie światowej na Konferencji Washingtońskiej Pięciu Mocarstw w 1922 r. ustalono następujące stosunki tonażu wojennego wiernie odzwierciedlające ogólny stosunek sił: Wielka Brytania, USA, Japonia, Francja, Italia jak: 5:5:3:1.75:1.75. Liczby te zgrubsza ilustrowały ówczesny układ głównych sił międzynarodowych. Z owej Wielkiej Piątki tylko jedne USA nie miały imperium kolonialnego. Wszystkie pozostałe mocarstwa miały imperia kolonialne. Dzisiejsze proporcje sił Wielkiej Piątki układają się inaczej. Przynajmniej ostatnie trzy liczby są mniejsze niż przed ćwierćwiekiem. Dziś ida kolejno: USA, Związek Sowiecki, Wielka Brytania, Chiny, Francja. W dzisiejszej Wielkiej Piątce już tylko dwa mocarstwa mają imperia kolonialne: Wielka Brytania i Francja. Zato dwa inne mocarstwa ZSSR mocno, Chiny umiarkowanie dążą do zlikwidowania władztwa kolonialnego. USA pozostały jak przedtym chwiejne w polityce kolonialnej. Tak więc już w samym układzie czołowych sił światowych pozycja mocarstw kolonialnych została na dobre podminowana.

Wojna pogłębiła na świecie, a zwłaszcza w Europie zrozumienie niewoli ludów kolonialnych. Narody europejskie odczuły na własnej skórze, co znaczy władztwo kolonialne, oglądane już nie w roli zdobywczego ludu panów, lecz oczyma podbitego ludu sług. Przy demokratycznym mechanizmie Organizacji Narodów Zjednoczonych i wielkich uprawnieniach Zgromadzenia Ogólnego może to poważnie wesprzeć dążenia niepodległościowe ludów zależnych.

Wojna osłabiła równie skutecznie bazę społeczną czołowych imperiów kolonialnych wewnątrz samych metropolij. Niezbędnym warunkiem ciemiężenia kolonialnego jest władz-

two klas panujących nad klasami uciemiężonymi samych metropolij. Otóż w wyniku drugiej wojny światowej zostało gruntownie zachwiane społeczne panowanie mieszczaństwa wewnątrz dwu głównych imperiów: brytyjskiego i francuskiego. W Wielkiej Brytanii Rząd Labourzystowski wybrany 5 lipca 1945 roku przez klasy pracujące mimo wszelkich konserwatywnych wyczynów swej polityki kolonialnej nie reprezentuje zdecydowanego kursu polityki krwi i żelaza jakby to robił Rząd konserwatywny wobec buntujących się kolonij. O negatywnym stosunku poważnej części proletariatu angielskiego wobec reakcyjnej polityki kolonialnej świadczy ostry protest 65 posłów labourzystowskich (na ogólną liczbę 393) w końcu października 1945 roku, jak i zorganizowana przez partię komunistyczną, lewica labourzystowska i organizacje postępowe demonstracja w dniu 14 listopada przed Izbą Gmin, domagająca się wycofania wojsk brytyjskich z Jawy.

Jeszcze mocniej mimo koalicyjnego Rządu trzech partyj nadwyrężona jest baza społeczna burżuazji francuskiej. 18 stycznia 1946 roku zawarto braterskie porozumienie między dwoma partiami robotniczymi, co do podstaw ustrojowych Odrodzonej Republiki Francuskiej otworzyło nowy etap historii kolonij francuskich Już 20 stycznia przewrócił się reakcyjny społecznie de Gaulle, 23 stycznia socjalista Gouin utworzył Rząd Koalicyjny, a w lutym Komisja Konstytucyjna uchwaliła włączenie do Projektu Konstytucji nowego statutu dotychczasowych kolonij, ustalając, że Francja i terytoria zamorskie tworzą Związek Dobrowolny, którego mieszkańcy korzystają z równych praw i swobód obywatelskich. W ślad za tym poszło porozumienie z niepodległą Republiką Viet Nhaw. Są to dopiero częściowe rozwiązania, tym nie mniej stwierdzić trzeba: Francja otrząsnęła się z hegemonii burżuazji. Za kilka miesięcy lud francuski zadecyduje na najbliższe lata o socjalizmie czy kapitalizmie we Francji. Wówczas zwycięstwo proletariatu zadecyduje o ostatecznym rozwiązaniu zagadnienia niepodległości całych Indochin i losów całego imperium zgodnie z wolą samych ludów kolonialnych.

Tak więc imperia kolonialne nie tylko zostały gruntownie osłabione w ogólnym układzie sił światowych, lecz także podminowane socjalnie od wewnątrz. Całokształt sytuacji ludów kolonialnych skłania do optymistycznych wniosków. Stare władztwo imperialne w koloniach jest już nie do utrzymania. Rezultaty aktualnych reform kolonialnych zależą przede wszystkim od politycznej aktywności i zorganizowanego działania postępowych sił świata. Zdecydowana i mocna walka

ze wstecznictwem kolonialnym już na obecnym powojennym etapie może dać polityczną niepodległość przynajmniej czołowym, najbardziej społecznie rozwiniętym koloniom. Dopiero jednak pełnia dojrzałości i władzy proletariatu angielskiego i francuskiego, głęboka demokratyzacja całej bez wyjątku Europy w serdecznym współdziałaniu ze Związkiem Radzieckim zadadzą cios ostateczny ciemięstwu i wyzyskowi kolonialnemu

KAZIMIERZ RUSINEK

Delegacja K. C. Z. Z. w Związku Radzieckim

Jechałem do Związku Radzieckiego po... prawdę. Wiadomo! Przed wojną prawda o Związku Radzieckim była w Polsce „towarem" zakazanym. Strażnik graniczny towaru tego nie oclił, a cenzor urzędowy debitu prawdzie o Z.S.R.R. nigdy nie udzielił. Mieliśmy za to „100 dni" Mussoliniego i „Mein Kampf" Hitlera. Tak było w Polsce do września 1939 r. Polska Mościckiego, Rydza i Becka była profaszystowska, antykomunistyczna i antyradziecka. Pojechałem z zamiarem napisania paru artykułów - reportaży.

Po tygodniu zdecydowałem się napisać broszurę, a dzisiaj zabieram się do książki. Mam mówić o Związku Radzieckim. Prostuję! Mówić będę tylko o wrażeniach, jakie wywiozła delegacja z tych miast i ośrodków, które widziała i zwiedziła. Zwiedzić szesnaście Republik, mówić o życiu 200 milionów ludzi zamieszkujących obszar obejmujący 6-tą część naszego globu, być w ciągu 30 dni w arktycznym, podzwrotnikowym i kontynentalnym klimacie, to zadanie, przerastające i siły i możliwości jednego człowieka.

I kłamie każdy, kto po miesięcznym pobycie w Moskwie czy Leningradzie odpowiada na wszystkie pytania. I to zadanie jest niewykonalne. Podzielić się wrażeniami w ramach jednego odczytu, także niesposób.

Bo Związek Radziecki to zupełnie inne dziecko, inna młodzież, i inne kobiety. Nowy ustrój i nowa kultura. Życie w Związku Radzieckim płynie innym zupełnie nurtem, niż w innych krajach Europy. Jest szybsze i bardziej płynne, większy ma rozmach i większe tempo pracy.

To kraj planu, organizacji i rekordów.

Takim rekordem była naprzykład budowa kanału Bałtycko - Białomorskiego. Porównanie: Kanał Suezki długości 14 kilometrów budowano dziesięć lat. Kanał Panamski, długości 4,3 klm budowali lat jedenaście. A kanał Białomorski, którego długość wynosi 227 klm był oddany do użytku w niespełna dwa lata. Budowa trwała dwadzieścia jeden miesięcy.

I tak jest wszędzie i we wszystkim. Tempo, tempo i jeszcze raz tempo. I dzięki temu tempu i pracy, Związek Radziecki zmienił fizjonomię kraju-olbrzyma, rozbudował przemysł, pobił rekord produkcji, podniósł człowieka-niewolnika do godności obywatela i gospodarza, zwalczył analfabetyzm, pobudował wspaniałe szkoły, szpitale i domy kultury, przedszkola i sierocińce, parki i boiska sportowe, gazetę, książkę i radio zaniósł do najdalszej chaty Kałmuka, Kirgiza, Jakuta i Mongoła.

Droga, którą Nowa Rosja przeszła od październikowej rewolucji do roku 1946, od ponurej pamięci carskich czasów do Związku Radzieckiego jest ogromna. Ogromna w przestrzeni, krótka w czasie i olbrzymia w osiągnięciach. Wykonanie każdego planu zmienia życie i stosunki Związku Radzeckiego o sto osiemdziesiąt stopni.

Przypomnę los amerykańskiego lotnika Materna, który kilkakrotnie w ciągu odbywanego w roku 1933 lotu dookoła świata, zabłądził nad Syberią, ponieważ widział z samolotu szereg miast i fabryk-kombinatów, nieistniejących na mapach Związku Radzieckiego roku 1930-go.

I tak jest wszędzie i ze wszystkim. Drugi przykład: Kupujesz widokówkę Moskwy. Ulica Gorkiego. Dom grodzkiego Komitetu Partii. Wracasz po roku i tego domu nie znajdujesz. Czy został zburzony? Nie. Czy zniosła go bomba atomowa? Także nie! Więc co? Po prostu i zwyczajnie. Został „tylko" przeniesiony na inne miejsce. Bagatela! Dwadzieścia osiem metrów w głąb ulicy. Tak zrobiono z resztą budynków i w ten sposób rozszerzono ulicę o dwadzieścia osiem metrów. To jest nowa

Rosja. Plan i technika, urbanistyka i rozmach. I jeszcze raz praca, praca i praca.

A przytym wszystkim człowiek Związku Radzieckiego ma czas na humor, na kino i teatr, gazetę i książkę, odwiedza muzea, zajmuje się turystyką i uczy się obcych języków.

Dla przybysza ma zawsze otwarte i gorące serce, słowiańską uprzejmość i gościnność szanującego się gospodarza.

Dla nas, Polaków, mają szczególną sympatię, interesuje ich nasz kraj, nasze trudności i nasze kłopoty.

Dzieci i młodzież w Związku Radzieckim to prawdziwe kwiaty życia. Czerwone, jak kolor sztandaru i dumne z postępów jakie robią w nauce i z przywilejów, z jakich korzystają w ojczyźnie, która jest ich dobrą i troskliwą matką.

Na czerwonym sztandarze macie godło: Młot i sierp, symbole pracy robotnika i chłopa. Ja umieściłbym jeszcze jedno. Symbol oświaty i kultury. Bo rewolucja październikowa zmieniła nie tylko strukturę gospodarczą kraju, ale prawdziwą rewolucję przeprowadziła w dziedzinie oświaty.

Parę cyfr:

Za carskiej Rosji ludności nie umiejącej pisać i czytać było siedemdziesiąt sześć procent. Obecnie liczba analfabetów w Z.S.R.R. wynosi dziewiętnaście procent.

Do szkół powszechnych w miastach w roku 1914 uczęszczało zaledwie milion dwieście tysięcy, do średnich sześćset tysięcy, na wsi sześć milionów sto tysięcy, uczniów. W roku 1938 do szkół powszechnych miejskich uczęszczało pięć milionów dwieście tysięcy dzieci, na wsi piętnaście milionów sześćset tysięcy. W ten sposób szkoła dotarła od stepów Azji Środkowej, do terenów poza kołem Polarnym. Carska Rosja miała dziewięćdziesiąt wyższych szkół, Związek Radziecki liczy obecnie siedemset jedenaście wyższych zakładów naukowych. Zdobycze jakie Związek Radziecki osiągnął na polu dóbr kulturalnych, (szkoły, szpitale, teatry, biblioteki, mieszkania i kluby fabryczne) są rezultatem ogólnego podniesienia stopy życia tamtejszych obywateli, co znowu możliwe było dzięki uprzemysłowieniu kraju i olbrzymiemu wzrostowi produkcji.

Przykłady:

Wydobycie węgla wynosiło w r. 1913 — dwadzieścia dziewięć milionów ton, w roku 1937 — sto dwadzieścia osiem mi-

lionów ton, wydobycie nafty wynosiło w roku 1913 — dziewięć i dziewięć dziesiątych miliona ton, w roku 1937 trzydzieści i pięć dziesiątych miliona ton.

Produkcja stali wzrosła z czterech milionów do siedemnastu milionów ton, surówki żelaza z czterech do czternastu i pół miliona ton. I tak jest wszędzie i ze wszystkim.

Jakże mało, jak mało przeciętny obywatel w Polsce wiedział o Związku Radzieckim. Przeciętny inteligent patrzył na Związek Radziecki poprzez dawne dzieje Polski. W podręcznikach, uczyłeś się tylko o carskiej Rosji, pamięć rejestrowała lata 1772, 1792—94, 1815, 1831, 1846, 1863 i 1905.

To wszystko i nic więcej. Rozbiory, imperializm carski, terror, Szliselburg i Sybir.

I tak powstała u nas i zagranicą opinia, że w Związku Radzieckim nic się nie zmieniło, że Polska, właśnie Polska, musi być granicą celną, przez którą prawda o Związku Radzieckim przejść nie może i nie powinna.

I Polska z braku własnej orientacji była orientowana przez innych, a zawsze byliśmy instrumentem w międzynarodowej polityce mocarstw i ich interesów. I ten okres historii i polityki antyradzieckiej zamyka rozdział o drugiej wojnie światowej.

Weszliśmy w okres nowej wiosny ludów, zbliżenia, sojuszu i współpracy ze Związkiem Radzieckim. W okres łamania przeszkód i pokonywania uprzedzeń po obu stronach. Zaufanie buduje prawda i szczerość.

„Nie żądamy — mówił na konferencji moskiewskiej generalissimus Stalin — żebyście wierzyli nam na słowo. Nie możecie nikomu wierzyć na słowo. Sądźcie nas i ustosunkujcie się do nas według naszych czynów, na zasadzie stosunku, jaki będziemy mieli do narodu polskiego".

Potwierdzenie tych słów znaleźliśmy w godzinnej rozmowie z generalissimusem Stalinem, odczuwaliśmy i słyszeliśmy na każdym kroku. Byliśmy przedmiotem serdecznych owacji, witani słowami ciepła sojuszu i szczerej przyjaźni. Tak szczerej i otwartej, jak szczerą i prostą jest dusza narodu słowiańskiego.

I każdy z nas, widząc ten entuzjazm zbiorowy, uległ żywiołowi sympatii.

Słuchając braw i okrzyków na cześć narodu polskiego i naszej armii, naszej młodzieży, naszych kobiet i robotników, mia-

łem uczucie wodza zwycięskiej armii, który odbiera defiladę wiwatujących na jego cześć tłumów. I przez cały czas pobytu w Związku Radzieckim nie mogłem się uwolnić od drugiego uczucia. Uczucia wstydu. Za Was w Bydgoszczy i Częstochowie, za Was — polscy faszyści, sprawcy zamachu bombowego na Pomnik żołnierza Czerwonej Armii i za Was, pogromowcy w Krakowie i Wierzchowinach.

I przypomniały mi się słowa, które Puszkin wypowiedział do wrogów Rosji:

„Za co Wy nas tak nienawidzicie? Za co?
Czy za to, że na zgliszczach płonącej Moskwy,
pod przemocą, my jedni nie uznaliśmy zuchwalca
i bożyszcza, pod którym Wy legliście, dygocąc?"

I pomyślałem wtedy, co by to było, jaki los spadłby na Polskę, gdyby Hitler pokonał Związek Radziecki w czasie równie szybkim, jak pokonał Polskę, Francję, Belgię, Holandię...

Nie byłoby i Polski i narodu. Cały świat ległby u nóg zwycięskiego dyktatora.

I nie tylko rozum polityczny, nie tylko graniczne sąsiedztwo i to, że należymy do jednej rodziny Słowian, nie tylko wspólny wróg i wspólna z wrogiem walka złączyła bratnie narody, ale i wspólny interes na dziś i na jutro, w złych i dobrych czasach.

Nie powtórzymy błędów przeszłości. Nie pójdziemy za głosem Raczkiewicza i Andersa. Polska demokratyczna weszła na drogę rozumu politycznego Lelewela i będzie, jak chciał Mickiewicz **„sercem w organizmie narodów słowiańskich i pieśnią słowiańskiej duszy"**.

Kończę. Sojusz ze Związkiem Radzieckim jest gwarantem pokoju, jest gwarantem naszej siły, gwarantem odbudowy zniszczonego kraju a w dalszej perspektywie jest on gwarantem naszego rozwoju i naszego dobrobytu.

Broniąc pokoju, nie dopuścimy, ażeby międzynarodowi gracze, jak Churchill, wyciągali kartę Polski do gry przeciwko interesom państwa polskiego wbrew woli i postawie całego narodu.

PAWEŁ ETTINGER

Nowe prace rosyjskie z dziedziny historii sztuki

Dorobek naukowy wydawnictw radzieckich z dziedziny dziejów sztuk plastycznych w latach wojny światowej nie był zbyt obfity. Poza szeregiem drobnych monografii artystów rosyjskich oraz kilkoma pokrewnymi książkami o charakterze pamiętnikarskim, uwagę zwraca właściwie tylko jedno dzieło, wydane w roku 1942 przez Akademię Architektury ZSRR w Moskwie, p. t. „Rosyjskie budownictwo drewniane" (Russkoje derewiannoje zodczestwo. Moskwa 1942).

Jest to zbiorowa praca trzech autorów, a mianowicie S. Zabiello, W. Iwanowa oraz P. Maksimowa. Daje ona, przy pomocy wspaniałych ilustracji w liczbie około półtysiąca, wyczerpujący obraz rozwoju budownictwa drewnianego w różnych częściach Rosji, analizując po kolei i opisując różnorodne objawy i formy tej prastarej narodowej architektury o niezwykłym często pięknie.

Jeśli poza tym monumentalnym tomem nie wiele dzieł podobnej wartości naukowej wychodziło z druku po 1941 r., to jednak w ciszy pracy gabinetowej radzieccy historycy sztuki nie przestawali rozszerzać i po części do końca doprowadzać szereg dociekań w swoich zakresach specjalnych, które obecnie już znajdują się w tłoczniach i których ukazania można się spodziewać w niedalekiej przyszłości.

W pierwszym rzędzie należy tu wskazać kapitalne wydawnictwo istniejącego przy Akademii Umiejętności ZSRR „Instytutu Historii Sztuki", na którego czele stoi znany malarz i badacz prof. Igor Grabar. Pod jego naczelną redakcją Instytut

wydaje jako pracę zbiorową 5-otomową „Historię Sztuki Rosyjskiej", której tom pierwszy już został ukończony. Tom ten obejmuje dzieje sztuki rosyjskiej aż do epoki carstwa moskiewskiego, a więc po kolei sztukę czasów pogańskich, poza tym budownictwo i malarstwo cerkiewno-monumentalne księstwa kijowskiego oraz przodujących w następnym okresie miast Włodzimierza, Suzdala, Nowgoroda.

Tom drugi w całości poświęcony jest rozwojowi sztuki w stolicy carów moskiewskich i otaczających stolicę okręgów aż do czasów Piotra i przeniesienia stolicy do Petersburga. Opracowanie drugiego tomu obecnie już jest w toku. Część tej nowej „Historii Sztuki Rosyjskiej" ma zastąpić wydane jeszcze przed pierwszą wojną imperialistyczną, również pod redakcją prof. Grabara, analogiczne dzieło, które jednak pozostało ułamkiem i w wielu kierunkach już nie odpowiada wynikom najnowszych badań radzieckich dziejopisarzów sztuki rodzimej.

Wśród tych ostatnich wybitne miejsce zajmuje prof. Wiktor Łazarew, który obecnie nakładem Akademii Umiejętności ZSRR wydaje trzytomowe dzieło p. t. „Powstanie Renesansu Włoskiego". Tom pierwszy wydania będzie zawierał obraz powstania i zaczątków tak pysznie później rozkwitającego Odrodzenia, tom drugi obejmuje sztukę Trecento, a trzeci i ostatni poświęcony jest pierwszemu pokoleniu artystów — Quatrocento.

Do młodszego pokolenia wybitnych historyków sztuki ZSRR należy i prof. Michał Ałpatow. Nakładem wydawnictwa moskiewskiego „Iskustwo" ma wyjść dwutomowa „Historia sztuki zachodniej" pióra Ałpatowa, zdawna przygotowana i od czasów najdawniejszych doprowadzona aż do doby obecnej.

Notatki powyższe o dziełach znajdujących się dopiero w druku należy dopełnić wskazaniem na leżący już na półkach księgarskich tom „Rozpraw Wydziału Sztuki Zachodnio-Europejskiej Ermitażu w Leningradzie" (Trudy Otdzieła Zapadno-Jewropiejskowo Iskustwa Ermitaża. Leningrad 1941. Tom II).

Drugi ten zbiór prac całego kolektywu współpracowników naukowych znakomitego muzeum leningradzkiego był już wydrukowany w 1941 r., ale oblężenie Leningradu o całe cztery lata opóźniło ostateczne wyjście książki. Składa się ona z 25 mniejszych i większych rozpraw, tyczących się najrozmaitszych utworów sztuki, z przebogatych zbiorów Ermitażu, naukowo oświetlających ich powstanie, pochodzenie oraz znaczenie artystyczne. Znalazły tu odbicie: malarstwo, rzeźba, rysunek, sztych oraz szeroka dziedzina sztuk stosowanych Europy Zachodniej.

FRANCISZEK BARTNICKI

Liciński – zapomniany pisarz-włóczęga

Motto: „Ja wiecznie wojowniczy duch, ja włóczęga,
idę kurzawą okryty, jak płaszczem, słucham
burzy i burzę roznoszę".

L. S. Liciński.

W XV wieku we Francji był taki obwieś, opój i włóczęga, którego los obdarzył iskrą wielkiego talentu. Zyskał sobie przez ten talent sławę światową; stał się pierwszym poetą Francji w nowożytnym znaczeniu. Nazywał się Franciszek Villon. Po nim było wielu sławnych i wielu zgoła nieznanych. Pod koniec XIX wieku zabłysło sławą literacką jeszcze kilku wielkich włóczęgów: w Stanach Zjednoczonych Ameryki — Edgar Allan Poe, Walt Whitman i Jack London; w Rosji — Maksym Gorkij; w Norwegii — Knut Hamsun.

W dobie tzw. Młodej Polski, kiedy Henryk Sienkiewicz, będąc już w pełni życia i sławy, gloryfikował wywijających szabelkami szlacheckich rycerzy, zjawił się na widowni warszawskiego życia literackiego młody, nikomu prawie nieznany pisarz-włóczęga, o baśniowej wyobraźni poety i ostrym zacięciu społecznego reformatora, który — jak wspomnina Wilhelm Feldman — „pieniącym się stylem z barłogu włóczęgi - proletariusza pluł w twarz wszystkim przedstawicielom ładu i porządku".

Był to Ludwik Stanisław Liciński. Włóczęga z natury i z sytuacji życiowej, był niby pariasem we własnym społeczeństwie. Gorzał w nim ogień buntu i talentu. Dwa powody zupełnie dostateczne, żeby być uważanym za niebezpiecznego anarchistę. Liciński był poza tym — biedny. Po prostu — nędzarz! A więc: talent, dusza zbuntowana i wreszcie nędza. Ale

ten niezwykły, oryginalny człowiek, o którego życiu tak mało wiemy, niczego nie żądał od społeczeństwa. Jakby w przeczuciu nadchodzącej śmierci, trawiony nędzą i gorączką gruźlicy, spisywał fragmenty, które snuły się w jego mózgu. Pisał nerwowo na skrawkach starego papieru, na pudełkach od papierosów... Takie były rękopisy Licińskiego. Znalazł się wreszcie ktoś, co się zaopiekował tymi niezwykłymi utworami i wydał je w dwu książkach: „Z pamiętnika włóczęgi" i „Halucynacje". Wniosły one do literatury ówczesnej ton protestu i buntu.

Liciński ostrze swego pióra skierował przede wszystkim przeciw ohydzie moralnej burżuazji polskiej, jak również wykazał w sposób bezlitosny zgniliznę życia mieszczańskiego. Chłoszcze „cnotę" przeciętnej, mieszczańskiej duszy, ukazuje fałsz i obłudę zacnych, sytych obywateli, doszukuje się kryminalnych występków w litosnym humanitaryzmie. Mieszczaństwo, ta zawalidroga do nowego życia społecznego, dało się kiedyś również we znaki Stanisławowi Wyspiańskiemu, który w ten sposób pisał do przyjaciela: „Mieszczaństwo, to jest taka głupia rzecz, że wstyd mówić, że to są nasi krewni, rodzice, znajomi, to wszystko nie ma duszy dla nas... Widzą tylko materialny byt, dochody, pozycję, stanowiska, nie rozumieją żadnych naszych idei..."

Liciński, włóczęga i wieczny rewolucjonista, który nie zawsze wiedział, gdzie jutro noc spędzi, wypowiadał się przeciwko błogostanowi mieszczaństwa. Co uderzało w życiu jego w ogóle, to zupełna pogarda dla spraw osobistych, kariery i nawet dla wszystkich przyjemności, które upiększają życie. I dlatego Liciński stał odosobniony i dumnie odtrącał wszelki kompromis. Chodził najchętniej bez kołnierzyka, przestawał z robotnikami, dorożkarzami. Lgnął chętnie do wszelkiej ludzkiej nędzy, wszelkiego cierpienia, krzywdy. „...Mam licznych wrogów — ludzie nie lubią moich prawd z mojego patrzenia idących".

Nie dbał o to, co myślą i mówią o nim. Nie miał w sobie nic z dorobkiewiczów sławy. Słowo było dlań ukochaniem i bronią. Zniewalał nim, lub gromił bezlitośnie.

— Realista — mówili o nim „smakosze literatury". Ale od jego realizmu bielały im wargi, tak jak blakł przy nim tani realizm modnych pisarzy. Realizm jego wyczarowany słowem pienił się i burzył, jak gorąca, zbrodniczą ręką wytoczona, krew. Przywalał, jak głazy lawiny. Piekł, jak potężny policzek. Toteż coraz puściej stawało się wokół niego. Stronili odeń nawet ci, którym „trafiał do przekonania".

— Zbyt śmiały, zbyt młody — mówili. A sztubak przed maturą, nieskalany jeszcze brudem sobkostwa, nie marzący o tytule doktora czy inżyniera, wczytywał się w żywym życiem tętniące strony jego „Pamiętnika włóczęgi” czy „Halucynacyj”. I budził się w nim mściciel krzywd — rewolucjonista.

— Nasz człowiek — mówił, widząc w nocy Licińskiego, dorożkarz do nocnego stróża.

Wokół poety-włóczęgi stawało się coraz bardziej pusto.

Nie wystarczyła bujna młodość. Nędza, brak elementarnych ludzkich wygód, zrobiły swoje.

Nie dbał o to. Czuł, że czas jego ograniczony, a pracy przed nim było tyle. Śpieszył się. Bez grosza, bez jadła, chory, na skrawkach starego papieru, na pudełkach od papierosów, utrwalał błyskawice swych myśli.

Aby zdążyć! Choroba jednak mocniejsza była odeń. Wykończyła młode życie w tempie przyśpieszonym.

* * *

Urodzony w dniu 17 kwietnia 1874 r. w Warszawie, wydalony z gimnazjum „z wołczim biletom”, tułał się kilka lat po kraju, pracując dorywczo w pismach satyrycznych oraz w postępowych tygodnikach, jak „Głos”, redagowany przez J. Wł. Dawida, „Myśl Niepodległa” Andrzeja Niemojewskiego, „Życie” krakowskie, „Kolce” warszawskie, „Panteon” paryski. Przeszedłszy granicę austriacką, zamieszkał w Krakowie, gdzie się zapisał na Uniwersytet jako wolny słuchacz filozofii. Po roku wydalony przez cesarsko-królewski rząd austriacki, opuścił niegościnną dlań „Galicję” i wrócił do Warszawy „przez zieloną granicę”, by wziąć udział w walce rewolucyjnej z caratem. Klasyczny wprost opis tego powrotu jest jedną z najpiękniejszych, najbardziej wzruszających kart w literaturze polskiej. Denuncjowany przez reakcję, ścigany i tropiony przez żandarmów rosyjskich, zbiegł na Ural, skąd wrócił już ciężko chory na gruźlicę. Przebywał na kuracji w sanatorium d-ra Geislera w Otwocku, gdzie zmarł 22 kwietnia 1908 r. Pochowany na cmentarzu w Karczewie koło Otwocka. Słowem, życie jego od chwili porzucenia domu rodzinnego przeszło w nędzy i nieustannych wędrówkach, których część odbywał pieszo, bez środków do życia. „Krwawa ponura Zagadka Życia — wspomina o sobie Liciński — unosiła się nade mną, jak Czarny Sfinks. W księgach mędrców zapragnąłem szukać jej wyjaśnień — wiedziałem, że uklęknę przed portykami myśli — o święte, niedościgłe księgi mędrców...”

Z utworów Licińskiego wyszły drukiem następujące prace: „Z pamiętnika włóczęgi" (Lwów 1908), „Ksiądz Jan Jaskólski" (Warszawa 1908) i „Halucynacje" (Kraków 1911). Prace etnograficzne Licińskiego wyszły w miesięczniku „Wisła" („O tkactwie w Kamionce lubelskiej" i „O bierkach"). Poezje w rękopisie oddane do wydania księgarni J. Mortkowicza, zostały skonfiskowane podczas rewizji przez żandarmerię rosyjską. Wiele utworów, pisanych pod pseudonimem „Liciniusz", zaginęło na zawsze... Jego nowele „Ajra", „W cyrku", „Policzek", „Po śmierci", są arcydziełami nowelistyki polskiej.

Wysoce cenili Licińskiego Stefan Żeromski i Wacław Nałkowski, który po ukazaniu się książki „Z pamiętnika włóczęgi" napisał o nim w „Panteonie" paryskim entuzjastyczny artykuł, witając w młodym autorze nowego siewcę burzy.

Jego utwory to fragmenty lub szkice szyderczo chłoszczące rzeczywistość społeczną, z którą żaden kompromis nie jest możliwy. Pamiętniki jego stanowią — według słów Grzegorza Glassa — „pierwszą w Polsce deklarację buntu człowieka, co wybiegł daleko za gniazdo i trzy parafie społecznego szpitalnictwa".

„Z pamiętnika włóczęgi" — to dzieło protestu, żywy akt oskarżenia społeczeństwa—czytamy w „Sylwetkach" Kazimierza Bukowskiego.—Rzucił mu w twarz całą nędzę jałowości umysłu, pustkę głupoty, bezduszność lekkomyślności, blichtr wyższości, hydrę podłości, tchórzostwa i cynizmu wyższych sfer społecznych". Liciński był wybitnym satyrykiem, godnym stanąć obok Heinego i Multatulego (Edwarda Douwes Dekkera). To, co pisał, było buntem. „Z pamiętnika włóczęgi" jest zarazem satyrą na Polaków — urzędników w służbie austriackiej, których wyśmiewa, jako osobliwy typ „państwowców". Biczował ciętym piórem mrowisko ludzkie! Śmiało prostował tradycyjno-kręte, święcie wydeptane i zaśmiecone ścieżki mrowiska ludzkiego.

Liciński pisał rzeczy niesłychanie proste, jak ów fragment jego włóczęgi, kiedy przeszedłszy granicę — zapalił zapałkę i przeczytał napis na drogowskazie: „Po napisie w obcym języku poznałem moją ojczyznę" — pisze.

Liciński opowiada rzeczy nieprawdopodobne, tchnące jednak okropną prawdą, o targach nieboszczyka z księdzem o koszty pogrzebowe, o podrożeniu pogrzebów dla ludzi niereligijnych i o wyłupywaniu ludziom przy takich targach ich szklanych oczu — bo odzyskują własne i poczynają widzieć.

„Którzy łakniecie i szukacie, którzy nowych ścieżek szlaki wydeptujecie... U ramion waszych skrzydła wasze, w dłoniach

waszych moc wasza. Nikogo nad wami nikogo poza wami. Spójrzcie tylko! Iżbyście byli jako słońca, których dłoń mroku nie zadraśnie... Iżbyście byli snom podobni, które się oblekały w ciała w wizjach poetów... Tak was wymarzyłem, boleśni!, takich pragnąć was będą, o smutni!..."

Tego rodzaju dedykacja zamyka ów „Pamiętnik włóczęgi". Liciński nie szedł przez życie sam, szedł z tymi, którzy cierpią, szydził gorzko z ich ciemnoty, lecz łzy miał dla ich niedoli. „Niewidomy i Szatan", „Niedokończone powieści", „Notatki obłąkanego"—oto przystanki w życiowej podróży, na które oglądał się poza siebie i piórem wspominał, co przeżył z innymi. Owe szkice, wraz z głębiej ujętą „Burzą" splotły się w książkę, będącą jakby kawałem drgającego bólem życia.

„Tyle mi się w oczach już zmieniło... Tyle dębów burza powaliła... Tyle kwiatów rozdeptała... Jakby pobojowisko wkoło... Tyle grobów, tyle wkoło szubienic... Tyle myśli niezabitych przez celników, tyle kwiatów rozkwitłych na nowo. W oczach łzy mam... Trzeba teraz łzy przekuć na miecze, na płomienie, na kwiaty i pieśni... Siejmy kwiaty!... A gdy kwiatów nam zbraknie, posiejmy miecze i płomienie, aby słońce zeszło do podziemi..."

Liciński był nie tylko satyrykiem. Był bojownikiem o sprawiedliwość społeczną, o wolność każdego człowieka. Umiał też zło nienawidzieć i wtedy nie znał pobłażania. Stąd zwalczanie klerykalizmu, którego silnym dokumentem jest rzecz o „Księdzu Janie Jaskólskim".

„Nienawidzieć, to znaczy kochać. Nienawiść to uczucie serc dumnych i śmiałych..." — pisał Emil Zola. Jeżeli zatem godzimy się, że nienawiść bywa niekiedy tylko formą miłości, to Liciński jest silny i ciekawy jako wyraziciel tego rodzaju nienawiści i bólu jednostek. Świetniejsze bowiem nieporównanie są „Pamiętniki włóczęgi" niż „Ksiądz Jaskólski", jakkolwiek autor przystroił go we wszelkie wady i grzechy. Czarna jest dusza księdza Jana Jaskólskiego, dziecięcia ludu, z którym utracił duchową łączność, gdy poczuł powołanie do roli „aktora służby Bożej". W duszy jego wre piekło, pełne samopogardy i samoobrzydzenia, pełne rozbudowanego serwilizmu, upokorzeń; pełne wstrętu do komedii, w której jest jarzmie, do świata, w którym „pijak z ambony grozi piekłem, cudzołóżca do czystości nawołuje, opryszek krew pańską pije, a zakąsi ją dobrym obiadem i kwartą piwa".

— „Klecho? — woła Liciński — a gdzie twych marzeń białe donkichoty?"

— „Uh! jakie to życie obmierzłe, śmieszne! Kościoły i por-

tyki, dzwony i religie, papieże i dogmaty — jaka to jedna skrzynia starych rupieci pleśnią i pajęczyną okuta!"

Ksiądz Jaskólski wspominał również wszystkie Kaśki i Małgosie, którym pokutę za grzechy u siebie w łóżku naznaczał: wspominał nauczycielkę biedną, która pod oknami jego się powiesiła; — wspominał, wszystko wspominał.

„Życie włos mu już pobieliło i twarz zmarszczkami usiało, a on szedł przez nie z cynizmem złoczyńcy byle prędzej — byle dalej."

„I oto dochodzi teraz do kresu swej podróży i widzi, że wszystko, co przebył, z krzywdą, a szkodą ludzką przebyte."

„I nie wymodlił sobie ani jednej duszy, co by w pobliżu niego stała, ani jednego serca sam nie umiłował..."

„Złe losy na świat go rzuciły, jak szczenię bez suki — co zechcą, to zrobią z nim ludzie."

A jednakże mimo tego przeświadczenia gra dalej lichą rolę kabotyna-kapłana, odprawiając aż do skutku msze na intencję deszczu i własnej kieszeni. Liciński dość szkicowo usiłował w utworze swym utrwalić i uwydatnić ów stały, chroniczny i głęboki rozłam w duszy ks. Jaskólskiego, powstały na tle niezadowolenia z siebie, ze zmarnowanego życia i z lichej roli „aktora".

A jednak mimo całego literackiego wysiłku, stanąwszy na niewdzięcznym dla ostrza swej satyry gruncie, nie pogłębił i nie dał nam nic ponadto, co wiemy dotąd o duszy księdza katolickiego. Typ jego wyszedł spod pióra satyry — zbyt jednostronnie.

W „Halucynacjach" przesuwają się obrazy, pełne grozy z wstrętnych zaułków warszawskich, z szpitalnych cel, sceny gwałtu, dzikiej nienawiści dziwnie splecionej z oddaniem się i miłością.

„Przedzieram się przez mroki czarnych nocy jak cień, i słucham... Pogarda, zbrodnie, bój!... To ludzie... O gimnastycy cnót! Jak mi was żal...

Ludzie! boję się, czym nie obłąkał wam fantazji i nie popsuł trzeźwości!..."

„Miast wypudrowanych miłostek, oczom waszym otwieram groby... Czyliż pójdziecie za mną na te strychy i cmentarze?... Chodźcie! nerwy wam popękają i zbieleją oczy... Chodźcie, uczynię was zdolnymi do niespania choć jednej nocy w życiu...

O ludzie, ludzie! jakże z was zadrwiłem!..."

Tak pisze poeta-satyryk, który wyprzedził tak zwany futuryzm polski, który stworzył swój własny oryginalny styl i słownictwo językowe.

Liciński, ten wolny ptak, poeta o radykalnym sposobie myślenia, był jednak zjawiskiem odosobnionym. W okresie rewolucji 1905 r. nie szedł z nikim, nie należał do żadnego obozu, był włóczęgą, był sobą. „Stał gdzieś z boku, czy w kącie, — jak powiada Żeromski — nie należał do żadnej literackiej parafii". I nie mogło być inaczej; wszak i jego bieg życia odległy był od utartych dróg, ale jednocześnie zbliżony do zagadnień społecznych. A była to postać niezwykła. Nie tylko jako pisarz, ale właśnie jako postać, Liciński był zjawiskiem oryginalnym, rewolucyjnym i twórczym. Był w życiu butny, nieugięty; sztuka jego więc nie mogła się podobać, bo posiadała ten sam zdecydowany urok charakteru.

Można go porównać z takimi duchami, jak Walt Whitman, Lew Tołstoj, Multatuli.

„Wy — pisał on w ostatniej swej przypowieści — którzyście nigdy za siebie i innych nie umierali, nie słuchajcie... Bajka bez was żyła... Kto jej w sobie nie miał — nie zobaczy jej w nikim... Kto nie szukał jej w nikim, nie odnajdzie jej w sobie... Kto człowieka hełm tylko nosi na głowie — nie zobaczy jej głową... Bajka jest Życiem. — Ale sen o bajce jest najpiękniejszym snem życia... Bajkę trzeba kochać ponad Życie... Bajko! snom o Tobie resztki życia dziś oddaję..."

Cała twórczość Licińskiego — to szukanie człowieka. „I człowieka znalazł między istotami wyzutymi przez społeczeństwo z wszelkich praw człowieczych. I w tego człowieka uwierzył". Współczesna literatura polska umieściła go obok Feliksa Brodowskiego i Janusza Korczaka, pokrewnych mu talentem i duchem.

Liciński nie wypowiedział ostatniego słowa jako artysta. Zmarł przedwcześnie, a i warunki, w których pracował, zupełnie nie ułatwiały mu tworzenia. A jednak i to, co po sobie zostawił, nie zginie, gdyż żywo charakteryzuje próby wyzwolin z objęć ustroju burżuazyjnego. W tym, bodaj, czy nie największy leży urok jego prac!

Liciński, satyryk-poeta, był szydercą, który nienawidził kłamstwa, — który „aptekarzom", marzącym o życiu nieśmiertelnym (w nagrodę za robienie pigułek i wypijanie koniaków), rozbijał w swej fantazji kieliszki na miedzianych czołach, — który gorszył praktycznych „powroźników", przekładając poezję dziurawych butów ponad fach zyskowny.

JERZY BRZĘCZKOWSKI

Pan granatowy

Pan granatowy miał dzisiaj niezły dzień: dwa kilo słoninki na targu od nieuważnej handlarki; kilogram mydła od chłopca, który sam wpadł mu pod nogi, bodaj zresztą naumyślnie, by uratować tatę wiejącego tymczasem z bimbrem bokami rynku; koło wiaduktu ręczny wózek z wędliną. Mógłby nawet zabrać wszystko, ale wolał zlikwidować łagodnie: trzy boczki z odwiezieniem do domu. Szmugler od tego momentu staje się „starym znajomym", to znaczy można go będzie „poznać" zawsze. A takie znajomości są najlepsze: ustalają trwały stosunek na podstawach ściśle gospodarczych. Człek nie chodzi po omacku. Pan granatowy kochał organizację pracy. Kalkulował trzeźwo, po chłopsku: żadnych wyczynów ryzykownych. Jego urząd — jak każdy zresztą urząd, służy po to, by człek, dostatnio żyjąc, pewnymi krokami doszedł do spokojnej przystani dobrobytu. Wtedy należy osiąść twardo na kotwicy. Oczywiście, zwyczajny ideał drobnomieszczański. Ale pan granatowy nie wiedział nic ani o drobnomieszczaństwie, ani o jego ideałach. Było to dlań proste i jasne — jak prosto i jasno biegła w tej chwili ulica Mickiewicza ku Marymontowi, zalana kwietniowym słońcem.

Tam właśnie zdążał „służbowo" na obchód sklepów.

Poprawił nowy pas na niezbyt nowym mundurze — ano, Niemcy lepszych nie dają, a wciąż wymagają „sznytu"! A jak go tu osiągnąć w takiej cholernej dzielnicy, gdzie nie ma ani jednego porządnego sklepu z galanterią, a tylko same wille? Przed wojną pracował „na Żydach"... Pan granatowy cicho westchnął. Nie zaimponowałby mu wtedy byle szkop swoim wyglansowanym sznytem.

Pan Kwiatkowski, właściciel rozdzielczego sklepu ze skromnym chlebkiem kartkowym na ladzie i mniej skromną szyneczką pod ladą, uważał również „granatowy" dopust za normalne akcesorium wojennego handlu. Tak zresztą było i będzie... Dojrzał z daleka wytworną, junacką granatową sylwetkę i mrugnął na żonę, by usunęła w głąb mieszkania nadmiar kiełbasy, nie należy bowiem kusić bliźniego, tym bardziej władzy. Że pan Kwiatkowski poza rozdziałem kartkowych produktów uprawia „kwiczący interes", o tym oczywiście władza wie, i zostało to już dawno między nimi dokładnie zorganizowane. Nie wyżyje człek z kartek i nie wyżyje człek z pensji. Trza być chyba szkopem, żeby tego nie rozumieć. A propos tych ostatnich — mają również zbliżone poglądy. Obaj serdecznie nienawidzą Niemców, aczkolwiek gdyby nie całkiem zbyteczne wystąpienia „nieodpowiedzialnych elementów" można by było z nimi żyć bodaj że nieźle. Pan granatowy właśnie przyniósł w tej materii patriotyczną nielegalną gazetkę. Stoi tam wyraźnie, że dla nas to niby jakby już i nie wojna: po prostu Anglia przy pomocy Niemców bije Sowieta, a później Sowiet przy pomocy Anglii będzie bił Niemca — i tak w kółeczko, aż się nawzajem wyniszczą. A nam wystarczy stać z „bronią u nogi". Właśnie tak stoją: pan Kwiatkowski ma zresztą w tej chwili u nóg spory gąsiorek z bimberkiem, którym za moment poczęstuje pana władzę, jako że on dzisiaj z kolei ma do niego interes.

Zasiedli na boczku przy ladzie. Znana z hożej urody na całym Marymoncie pani Kwiatkowska kraje nie-przydziałową szyneczkę, ponętnie dotykając pana władzę cokolwiek za bardzo wypiętym biustem. Sam pan Kwiatkowski napełnia szklanice złocistym bimbrem.

Jeszcze mówią de publicis. Przy okazji pan Kwiatkowski ma do zakomunikowania o konkurencie z naprzeciwka, że bije prosiaki we własnej piwniczce. A wędzi w pralni. Co gorsza, sprzedaje bezpośrednio nierejestrowanym konsumentom u siebie w salonie. Nie jest ani rzeźnikiem, ani człowiekiem handlu, a tak jakby wyglądał na „elementa" Tu p. Kwiatkowski napełnia nowe szklanice, pani K. przechyla się słynnym na cały Marymont biustem, a pan władza wyciąga notes.

Ale — nie notuje nic. Pan granatowy, aczkolwiek bardzo lubi „kwiczący interes", wszakże nie wtedy, gdy jest związany z jakimś „elementem". Elementów na Żoliborzu jest bardzo dużo, o tym pan granatowy aż nadto dobrze wie. Utrudnia mu to ogromnie pracę w terenie. Niepodobna po prostu normalnie wejść do jakiejś willi, dajmy na to w sprawie niewywiezionego

śmietnika, bo w tym śmietniku właśnie może być... Pan granatowy pomimo wiosennej pogody czuje wyraźny dreszczyk. Nie, tego interesu się nie podejmie.

Żegnają się, jak zwykle, długo i serdecznie.

Wiosenne słoneczko wylazło znowu zza chmur i rozsiadło się na czerwonych dachach, jak na pluszowych fotelach. Wróble kąpią się w kałużach po niedawnym śniegu. Rozpryskując wyglansowanymi butami błoto, pan granatowy kroczył raźno ulicą, sam wesoły i rzeźki, jak wróbel. Niewielka ilość wypitej wódki nie oszołamiała, a raczej musowała przyjemnie w żołądku, idąc wraz z wiosennym oparem do głowy. Po drodze elegancko salutował pół-dłonią, po oficersku, napotkanym znajomym dziewuszkom, wdzięcząc się wciętą talią munduru i kołysem wypiętego à la Dymsza zadka. Był przystojnym chłopcem, wiedział o tym. Brak mu było tylko należytej oprawy. Jeszcze raz westchnął, spoglądając na przetarte rękawy i wspominając przedwojenną Dziką ulicę: tak świetnie tam rozumiano obopólny interes! Poczuł coś w rodzaju nostalgii: starał się przecież cały czas o przeniesienie do ghetta, ale uważano go za mało politycznie wyrobionego. Zbyt dużo w nim było rzekomo słowiańskiej miękkości. Pan granatowy szukał bezskutecznie na parafii w Kobyłce, skąd pochodził, jakiejś echt teutońskiej prababki: niestety, wszystkie były „geboren Cebula", i to nazwisko szło za nim poprzez pokolenia, jak przekleństwo. Dał spokój. Niech już tam będzie „słowiańska miękkość", i z nią można przeżyć. Uśmiechnął się ufnie do jasnego słońca w kałuży.

Przepuścił na zakręcie tramwaj, z przyzwyczajenia lustrując wysiadające na przystanku handlarki, gdy wtem mignęła w oknie jakaś ogromnie znajoma kobieca twarz. Zgrabna, wysoka, dobrze ubrana, z elegancką krokodylową torebką w ręku kobieta kierowała się ku wyjściu. Zrównał się właśnie ze schodkami wagonu. Spojrzała nań obojętnym, dalekim wzrokiem spod bardzo długich, czarnych rzęs. Ale pan władza już ją poznał. Aż mu się gorąco zrobiło! Musnął w pierwszym odruchu dłonią do czapki, wszakże zatrzymał w pół drogi ukłon.

Poszła w stronę przeciwną, wyraźnie nie zwracając nań uwagi. Pan granatowy miał nową chwilę wahania: pójść za nią? Mózg pracował gorączkowo, nie dochodził jednak jak zwykle do szybkich, precyzyjnych wniosków. Nie miał w tej materii wprawy.

Usłyszała snać za sobą jego kroki i nerwowo rzuciła spojrzenie przez ramię. Pan granatowy uśmiechnął się niezdecydo-

wanie i tak mu jakoś wypadło, że zbliżył się jeszcze o jeden krok. Stanęła, lustrując go od stóp do głów. Pan władza poczuł rozkoszny dreszczyk myśliwego, któremu zwierzyna sama włazi pod strzał. Zasalutował teraz z czarującym uśmiechem starego znajomego. Lekko kiwnęła głową, wciąż stojąc w wyczekującej pozie. Tylko drżenie ust, ocienionych ciemnym meszkiem, zdradzało zdenerwowanie.

— Pan sobie życzy? — spytała bardzo opanowanym, niskim głosem.

— Tylko powitać panią! — ukazał wszystkie białe zęby pan władza.

Obejrzała go jeszcze raz uważnie i snać uspokoiła ją ta lustracja.

— Niestety, nie mam przyjemności pana znać, — przecięła.

Pan granatowy przysunął się poufnie: — Czyżby nie pani Rosenbaum? — szepnął.

Ani drgnęła. — Oho, trudna sztuka! — pomyślał. Jak się to dalej robi?

Wyjęła spokojnie z torebki kennkartę: — Pan mnie bierze za kogoś innego. Zapewne za... Żydówkę? Oto dowody.

Pan granatowy zamachał pośpiesznie dłońmi, jakby opędzając się przed rojem pszczół:

— Ach, ach! Czyż ja bym śmiał? Legitymować starą znajomą? Ja, stary przyjaciel pani małżonka? A propos, co z panem Rosenbaumem? Zagranicą, czy też...

Zawiesił współczująco melodyjny głos i kiwnął domyślnie głową gdzieś daleko poza czerwone dachówki. — Czy też jeszcze na Dzikiej pod 38? — rąbnął nagle twardym „policyjnym” barytonem.

— Nic z tego nie rozumiem... — wzruszyła ramionami. — Jeśli pan nie ma do mnie żadnej urzędowej sprawy, to... to przepraszam... — odchyliła się, jakby chciała odejść, ale zatrzymał ją gestem.

Widział w coraz bardziej rozszerzonych oczach kobiety tężejący lęk. Ocienione czarnym meszkiem usta wygięły się, jak do płaczu. Nie zależało mu bynajmniej na zwracaniu czyjejkolwiek uwagi, przeciwnie. Przebalansował z gracją Adonisa z nogi na nogę. Ujął ją lekko pod ramię. Nie broniła.

— Pani Rosenbaum, przestańmy udawać! — wsunął jej

głęboko rękę pod pachę. — Przejdźmy sobie troszkę spacerkiem. Pani mnie się boi?

Milczała. Szła obok niego. To dobrze, myślał, od razu sama mnie zaprowadzi, gdzie mieszka. Działał raczej instynktem.

Zza węgła ukazał się nagle patrol niemieckiej policji. Szło ich trzech, w kaskach, opięci, sztywni, z rozpylaczami podciągniętymi do łokci. Ulica pustoszała. Pan granatowy przytulił łokieć Rosenbaumowej do swej granatowej bluzy i tak — czułą parą — szli wprost na Niemców. Ponure, zimne oczy prześlizgnęły się po nich obojętnie.

Czuł, jak drżała mu cała przy boku, młoda i prężna, i w tej chwili pomyślał, że może nie tylko rekompensaty materialnej od niej zażąda. Pan władza był strasznym kobieciarzem — ba! Romantykiem! Musnął policzkiem jej włosy. Odsunęła się na całą długość ramienia.

— Mów pan prędzej, czego chcesz! — rzuciła z takim błyskiem nienawiści w węglowych oczach, że sam cofnął rękę.

— No, pani Rosenbaum, czemu tak ostro? — wymamrotał. — Uratowałem panią. Mogłem przecież powiedzieć. Pani kennkarta, to — fiume! Żonę wielkiego przemysłowca Rosenbauma znają całe Nalewki. Ja tam służyłem.

— Więc? — hardziała i twardniała coraz bardziej. Tylko drżenie ocienionych ust zdradzało, że grała va-banque, że to, być może, ostatni wysiłek.

Balansował z gracją swoim zwyczajem z nogi na nogę.

— I ja też spytam — więc? — wycedził wolno.

— Nic pan nie dostanie! Fabryki już nie mamy. Mąż w ghetcie. A ja...

— A pani ukrywa się na Żoliborzu. Jak to przyjemnie, że pani nareszcie już się nie wypiera!

Spostrzegła się, ale machnęła ręką.

— Pieniędzy nie mam.

— To zapłaci ten, u kogo pani mieszka.

— Nie powiem!

— Ja znajdę.

Z cichym zgrzytem skręciła z Marymontu 14-stka. Rosenbaumowa oderwała się od granatowego i wskoczyła w biegu do wagonu. Stało się to tak nagle, że nie zdążył zrobić tego

samego. Gonić nie wypadało, nie wywołując skandalu. Zaklął widząc znikającą mu tylną platformę tramwaju.

Był wściekły, że za prędko się zdradził: trzeba było po prostu iść za nią — na pewno by go nie poznała. Skądże zresztą mogła pamiętać zwykłego posterunkowego ze swojej dzielnicy? On, co innego. Widywał ją często w szarej limuzynie, gdy zajeżdżała z mężem — przystojnym, zeuropeizowanym Żydem — przed firmę. Pan władza każdorazowo salutował, pan Rosenbaum czasami uchylał kapelusza. „Na Żydach" nie mieszkali, wiadomo było, że mieli willę.

Pan granatowy pacnął się w czoło: właśnie, willę, ale gdzie?

Tramwaj ostatecznie znikł mu za placem Wilsona. Ale pan granatowy miał już pewien plan. Znał tu jednego fryzjerczyka, trudniącego się od lat pośrednictwem w wynajmowaniu i kupnie willi. Była to chodząca kartoteka, i w rozmaitych wypadkach służył już nie raz radą i fenomenalną pamięcią granatowej władzy. Pociągnąwszy lekko dłonią po policzku stwierdził, że ma dostateczny pretekst do wizyty. Oczywiście, ogolenie należało również do stałych „abonamentów".

Gdy siedział już wygodnie z puszystymi od mydlanej piany policzkami, a p. Kokosiński z zawodową gracją migał mu przed oczyma błyszczącą stalą,

— Znał pan firmę Rosenbauma? — zagabnął od niechcenia, tłamsząc papierosa w popielniczce.

Pan Kokosiński podrapał się tępym końcem brzytwy w podczernioną brewkę.

— Tego od rękawiczek i wyrobów skórzanych?

— Tak, — władza wydęła uczynnie policzek pod nowe poślizgnięcie brzytwy, — kupił tu willę.

Fryzjer stężałym wzrokiem zapatrzył się w kartotekę wpomnień.

— Nie kupił, — wyrzekł wolno. — Tu Żydom nie sprzedawano. Jego teściowa miała na N...skiej. Ta biała, piętrowa, ze szklanym ganeczkiem.

P. władza poruszył się na krześle, aż zaskrzypiało; pokrył to szybko podrapaniem się w łopatkę.

— No, i zamieszkał tu? — nastawił znowu policzek.

— Mieszkał przed wojną. Teraz, chyba zwiał.

— A teściowa?

P. Kokosiński długo namydlał pędzel.

— Ja panu coś powiem, — rzekł wreszcie. — Ona Polka. I polskie nazwisko. A że z Żydów, to komu to się w Polsce nie zdarza?

Pan władza zrozumiał, że tamten już rozszyfrował jego rebus. Dalej nie należało pytać, chcąc pozostać w dyskrecji. Pogadali o pogodzie, postawili wspólnie prognozę polityczno-strategiczną i rozstali się, jak zwykle, pełni wzajemnej uprzejmości.

Teraz pan granatowy wiedział, czego chciał się dowiedzieć, ale tym bardziej nie wiedział, co miał robić? Niewątpliwie Rosenbaumowa wróciła do swego panieńskiego nazwiska i po prostu mieszka u siebie. Szantażować dalej? Jeśli baba się nie speszy — trudna rada. Pójść naprawdę z donosem do Niemców — ani mu się śniło! Bał się panicznie ich surowej, dokładnej służbistości, z którą nie znając języka ani obyczajów, nie wiedział nigdy jak sobie radzić.

— Pójdę sobie na razie obejrzeć willę, — pomyślał, — tego nikt mi nie zabroni. A czy ja jej w ogóle chcę zrobić co złego?

Uśmiechnął się przyjemnie i wionął najlepszą kolońską wodą do dwóch mijających go pensjonarek. Strasznie lubił młodzież!

. . . .

Dopiero tu, za zamkniętymi drzwiami straciła swój sztywny, ach, jakże wypracowany spokój! Czuła się gonionym zwierzęciem.

Wbiegła od razu do siebie po wewnętrznych, krętych schodkach. Jeszcze jedne drzwi! Jakby ich podwójna ilość mogła ją skuteczniej ochronić. Rzuciła na czarny blat fortepianu rękawiczki i torebkę. Chodziła wciąż w kapeluszu i płaszczu po pokoju — z kąta w kąt, z kąta w kąt — jakby już zamknięta w celi.

Stanęła przed oczami obleśnie uśmiechnięta, pucołowata twarz nieznajomego posterunkowego. Nie poznawała go, oczywiście, ale to nie dowód, że on jej nie znał. Żonę przemysłowca Rosenbauma łatwiej mu było zapamiętać, niż jej jakąś tam policyjną gębę!

Och, żebyś ty durniu wiedział, że ja nie o swoją „żydowskość" się boję... — powiedziała wprost do tej głupiej, sterczącej wciąż przed oczami gęby. — Tamto już zapłacone... dobrze zapłacone, nie tobie, gadzie... **Ale są inne rzeczy...**

Zezowała w bok, na różową, niewinną „dziewiczą" toaletkę. Trzeba „to" dziś jeszcze usunąć!

Przyklękła w nagle uważnym napięciu ruchów. Wysunęła spod różowej kapy palisandrową szkatułkę. Ułożone obok siebie szklane rurki z przezroczystą cieczą. Zamknięta w zwyczajnej szklanej epruwetce płynna śmierć.

Po lśniących, błękitnawych w nocy szynach toczą się, sapiąc, pociągi. Transporty naładowane sztywnym, hałaśliwym niemieckim żołdactwem — na wschód.

Obok szyn — cienie.—

Przypadają do szyn.

— Trzeba dziś jeszcze zanieść do sąsiedniego domu. Tam właśnie delikatne, jak jej, białe ręce studentek-chemiczek zmontują. Kulawy, popularny w całym bloku dowcipniś — z tych „bogu ducha winnych" — staruszek-profesor sprawdzi. Czy widzi w kręgu swych dobrodusznych, rogowych okularów, jak przezroczysta ciecz w epruwetce przetworzy się w czerwony płomień?

W huragan czarnego dymu i kurzu. —

W bezład skręconego spazmatycznie żelastwa.

Zacięła z dziką pasją ocienioną czarnym meszkiem górną wargę. Ukryła palisandrową szkatułkę pod płaszczem, znów gotowa do wyjścia. Zbliżyła się do okna z kwitnącym geranium. Na chodniku, leciutko balansując z jednego wyglansowanego buta na drugi, stał świeżo wygolony, w pozie romantycznego kochanka pan granatowy z Dzikiej i przyglądał się kwiatkom we wszystkich oknach.

— A więc jestem już obserwowana, — stwierdziła spokojnie. — Za późno. Z lustra, przed którym mimowiednie stanęła, patrzyła na nią kredowo blada twarz o rozszerzonych ciemnych źrenicach wśród błękitnawego białka.

. . . .

...Pana posterunkowego obudzono w nocy, jak i innych posterunkowych N-tego komisariatu. Przydzielona ekipa SS-Polizei nie uznawała guzdralstwa. — Fertig? Jazda! — Chłodna kwietniowa noc skrzyła zielonymi gwiazdami na wytartych guzikach granatowych mundurów i na lufach karabinów. Komisarz niemiecki komenderował ostro, acz z cicha. Drżącym głosem powtarzał komendę po polsku trzęsący się, jak galareta, pan komisarz granatowy. Obława! Cywilni tajniacy obojga narodowości szeptali w czarnym cieniu nieokrytych jeszcze liśćmi płaczących wierzb. Białe wille przebłyskiwały cukrową bielą poprzez gałęzie, jak wstydliwa nagość.

Do pana granatowego z Dzikiej podszedł „umeloniony" kolega:

— Zmarzłeś, Antoś?

— N...nie! — odszczęknął zębami pan granatowy. Nie miał uwodzicielskiego uśmiechu. Nie wionął kolońską wodą a kwaśnym zapaszkiem nieumytych ust po wczorajszej wieczornej fecie u p. Kwiatkowskiego z tytułu przypadkowego przyłapania konkurenta, który okazał się na szczęście nie żadnym „elementem" a po prostu profesorem uniwersytetu.

— No, to się zgrzejesz! — pocieszył z ironią tajniak. — Mogą nas gorąco przyjąć.

Panu granatowemu szczęknął o ziemię wywalający się z ręki karabin.

— Still! — warknął niemiecki buldog.

Karabin wrócił do pozycji.

Poszli.

Gęsiego za furtką. Szeroka ulica Mickiewicza chłonęła jednego po drugim.

Na polu, między działkami przypadli do miękkiej gliny. Szeroką tyralierą obiegli wąwozy. Wyłonili się na moment błyskiem luf na piaskowej górce. Zaszemrał pod butami asfalt Słowackiego.

— Gdzie oni idą? Jezus-Maria...

Wczorajszy boczek u p. Kwiatkowskiego musiał być nieświeży. Zemdliło. Zwymiotował na but kolegi.

...Wczoraj na Marymoncie... granatami... — opowiadał w biegu szeptem inny kolega koledze.

...i jak świń... ręka — noga...

Oparł się dłonią, a później czołem o latarnię. Nie pójdzie!

— Vorwärts!

Przygięci, gęsiego obok kina. Na paluszkach.

— Rozsypać się! — dławi komendę polski głos.

Był w trzecim łańcuchu. Widział, jak pierwsze dwa osaczają blok kilku połączonych ze sobą białych willi. Wsiąkali od razu w atramentawy cień żywopłotów; przekreśliły w paru miejscach jaśniejszy wylot jezdni pochylone w biegu sylwetki.

Już nie miał wątpliwości, dokąd przyszli. Stał tuż pod szklanym ganeczkiem.

— To ona „taka"?

Nie posądzał...

Chciał właśnie następnego dnia złożyć przyjacielską wizytę i dogadać się po dobremu, po znajomości, bynajmniej nie żądając wygórowanej sumy. Tak mu doradził p. Kwiatkowski,

z którym po bruderszafcie postanowił osiąść obok siebie w sielskiej ciszy, w rodzinnej Kobyłce, na sąsiedzkich gospodarstwach.

Cicha przystań... — poczuł coś w rodzaju żalu do niej i wyrzutu za zawód.

Ktoś go mocno szturchnął w ramię. Odruchowo uniósł karabin, ale opuścił. Znajomy głos tajniaka szepnął w samo ucho:

— Nie stój, durniu, gdzie jasno naprzeciwko okien! Sprzątną cię, jak wróbla.

Pokazał dłonią na szklany balkonik, a potem na czarną smugę żywopłotu.

— Kucaj! My wchodzimy pierwsi, k..wa mać!

Wlazł na czworakach w nieprzejrzysty cień. — A gdyby tak wyjść z łańcucha? — Znów schwycił go dygot całego ciała i duszy, spazm w gardle. Przepełznął parę kroków w tył. Na gwiazdy nasunęła się chmura.

— A jeśli przyłapią na opuszczeniu posterunku? — Zabulgotały w mózgu mało zrozumiałe słowa obcej, twardej mowy-rozkazu: tak, jedno tylko słowo zrozumiałe: „erschissen" — rozstrzelają.

Przypadł do muru a później do wnęki bramy. Obok przedudnił butami ostatni łańcuch obławy, zamknięty ogniwem SS-Polizei. Obok Antosia stanął ogromny, ciężki Niemiec, nieco zasapany w biegu, i skrobał coś koło rozpylacza. — Jezu... nie zobaczy?... Ścisnął zęby do bólu, aż wyczuł guzy mięśni na szczękach.

Zorientował się, że z ciemni bramy widzi go lepiej na tle niebieskiego chodnika, niż tamten jego.

Esman wyrychtował tymczasem narzędzie śmierci. Tu widocznie pozostanie, zamykając odwrót. Wymacał ręką stopień ganku i cicho, pomimo olbrzymiej tuszy, przysiadł, jak przyczajony kot.

— Tak mamy być obok siebie? — granatowy strzepnął obrzydliwy, zimny pot z górnej wargi, co mu oślizgłym paskudztwem zalewał usta. Musiał przecież odetchnąć! Niemiec spojrzał snać w jego stronę. Biała plama twarzy pod czarnym kaskiem poruszyła się i zatrzymała. — Patrzy wprost na mnie — a gdyby tak... Przycisnął do żeber karabin.

Niemiec odwrócił twarz. Nie widział ani oczu Antka, ani czarnego wylotu lufy jego karabinu.

— To jest być złapanym, zagonionym zwierzem! — zafermentowało w tępej, zabimbrowanej mózgownicy pana granatowego.

. . . .

— Danuśka!

Zerwała się i usiadła od razu na łóżku. Przytomna. Zawsze taka, od dziecka, gdy budzono na pensję.

— Policja?

— Nie wiem. Słyszałam paru ludzi. Zdaje się...

Matka w długiej, nocnej koszuli weszła do pokoju.

— Masz co, Danusiu, w domu?

Przemilczała. Chciała wczoraj wynieść do sąsiada. Ale obserwował przecież od wczoraj ten... ten „znajomy" z Dzikiej. Zresztą, wszystko jedno. Jeśli obława — tamci też będą się bronili — pójdzie cały blok.

— Nic nie mam. Niech mama idzie na dół. Do kuchni.

Podeszła do okna. Po rynnie, jako dziecko, umiała ześlizgiwać się do ogrodu. W zielonkawym skrzeniu gwiazd dojrzała wyraźnie ciemny mundur. Niemiec? A więc, otoczeni. Nie ma dokąd, nie ma poco... Z rezygnacją przysiadła na framudze. Postać — a właściwie niewyraźna sylwetka — przebiegła parę kroków w cieniu i zatrzymała się, jakby rozglądając. Bez karabinu: może to „znajomy" z Dzikiej? Po prostu, na obserwacji?

Półnaga, skuliła ramiona w chłodzie nocy. — On chce tylko łapówki. Nie groźny... Ale, dlaczego w nocy?

Sylwetka znikła w atramentowym, nieprzejrzystym cieniu zabudowań. Nikt inny się nie ukazał.

...Pewno pilnuje, żebym mu po nocy nie uciekła — odetchnęła.

I w tej chwili załomotały na dole drzwi pod paroma kolbami.

. . . .

Esman uniósł się z kamiennego schodka tak cicho, że na razie nawet nie spostrzegł. Po prostu, wyrósł mu czarnym słupem. Przesunął się parę kroków; Antoś tyleż kroków zrobił w tył. Furtka do czyjegoś ogródka nie była zaryglowana. Poddała się bez zgrzytu. Owionął go mokry, gorzkawy zapach gałęzi zwisającej wierzby. Altanka? Wczołgał się. Zeszłoroczne, zgniłe

liście zaszeleściły. Ale tu go jeszcze mogą znaleźć. Altana przezroczysta, jak siatka. Pełznął dalej. Karabin odrzucił, zawadza. Tak dobrnął do gospodarskich zabudowań i zdecydował się podnieść, rozglądając. Trwała wciąż cisza: widocznie jeszcze okrążają cały blok. Postawił dwa kroki i znów przystanął; nieznośnie skrzypi żwir! Jeszcze dwa kroki. Nieprzejrzysty cień ściany wchłonął go bez reszty. Nagły rozgwar kilkunastu wrzeszczących niemieckich i polskich głosów ułatwił stąpanie. Macając dłońmi mury, biegł tuż przy ścianie. Ani jednego schówka, gdzie by mógł przesiedzieć do końca obławy! A później — zrzuci mundur, gdzieś kupi kapotę Wyjdzie w pole, na wieś! To „później" mało go w tej chwili obchodziło. Oczywiście, na posterunek nie wróci. Zagoniony zwierz, gdy się raz urwie — nie wraca.

Trzasnęła, rozpieniła się salwa kilku rozpylaczy. Z brzękiem wypadły gdzieś szyby. Kobiecy głos tylko jęknął raz — krótko, jak przejechany przez tramwaj pies.

W czarnym cieniu uderzył całą twarzą o drewniane drzwi, które zerwały się snać z jakiegoś słabego haczyka i stanęły otworem. Wyjął ślepą latarkę — z odoru zresztą już poczuł, gdzie jest: po prostu, podwórkowy ustęp. Rzucił błysk promienia w głąb.

W jaskrawym kręgu światła zakołysała się wraz z kołysem ręki biała postać. Długie — wydłużone pobielanym sedesem, na którym stały, nagie, kobiece nogi. Od kolan kusa, dzienna koszulka. Podniósł latarkę. W martwym świetle wapienno biała twarz z rozszerzonymi czarnymi oczami. Poznał.

Rosenbaumowa patrzyła weń, nie widząc, oślepiona blaskiem. Wszedł, wciąż świecąc. Później cicho przymknął za sobą drzwiczki i zasunął drewniany skobel.

Teraz dopiero zgasił światło. — Cicho, cicho, pani Rosenbaum, nie bać się — szepnął, macając ręką jej chłodne, nagie stopy. — To ja... i nie ja — tu tylko para zagonionych zwierząt — zabełkotał.

Kolana ugięły się pod nim. Nerwowymi seriami bił gdzieś blisko raz po raz ręczny karabin, druzgocząc rozbrzęczane szyby. Z okien odpowiadano nierównymi paczkami strzałów rewolwerowych. Kilka kul pacnęło w górne deski.

Osunął się na obrzydliwie mokry sedes u jej nóg. Drżał. Budyneczek zachwiał się cały od wstrząsu wybuchającego granatu. Przez szparę czerwony błysk oświetlił rozkrzyżowaną na deskach kobietę.

ROMAN BRATNY

Zemsta

Nisko rozlewały się krople słabych, szurających o brudną posadzkę kroków i stygły w migotliwych kałużach. Wyżej — na piersi miała sztywny skłon deski kolatorskiej ławy. Dlaczego tu — pod skąpym węzłem staroświecko zaczesanych włosów — milczał groźny i pamiętający Bóg?

Maria schwytała się na bezmyślnym wpatrywaniu w szczerniałe pasmo spoconego drzewca procesyjnej chorągwi. W kościele trwał bezruch, czasem tylko przebiegały przez nawę szybkie i tajemnicze kroki — pusto dźwięczące i same — kroki ludzi z ulicy.

Chciała się modlić. Patrzyła na swoje złożone, zmęczone ogarnianiem prostego życia ręce. Poprawiła się na klęczkach. Wtedy nagłym pocałunkiem miłości spadło na nią — na kark — chrapliwe odkaszlnięcie przy konfesjonale. Ten młody, czekający za nią już długo chłopak, był dla niej tamtym — jej Stanisławem.

Cisza była zupełna. Nikt już nie szedł ciemniejącą ulicą. Szeptem dosłyszalnym spowiadał się tamten. Szorstkie ręce Marii trzymały ciasno Boga w obłoczku pary z ust szepczących modlitwę. Chciała zagłuszyć szept tamtego chłopca. O, znów Bóg patrzył stąd, z jej rąk, łagodniej, przychylniej w stronę Stanisława. Rozumiała dobrze, że to nie jest to prawdziwe szczęście, że to nie on, nie Staś, modli się tam, w skupieniu wyznaje swoje morderstwa! Nie odebrało to jej wielkiego spokoju i prawdy — ten spowiadający się z mordów młodzieniec zastępował tu Stanisława, mówił wybaczającej ciemności konfesjonału o zabiciu, o zabijaniu ludzi.

Znała ich, choćby ze swej kuchni, tych młodych uśmiechniętych albo skupionych, nieuchwytnie różnych dla niej chłopców — tych morderców, o których, z napawającą ją przerażeniem dumą czytała w tajnych świstkach. Byli różni, różnili się, nie mieli chyba nic ze sobą wspólnego, jakby morderstwo— zabijanie ludzi nie dawało żadnego jednolitego piętna ich twarzom. A jednak poznawała ich. Jak tamtego — płynącego za nią na równym szepcie spowiedzi. Sczerniałe pasmo spoconego od uchwytu chorągwianego drzewca zginęło już w ciemniejącym powietrzu wieczora — gdy szła wolno przez zimne ulice ku domowi. Szybki przepływ mijających ją ludzi napędzał jej

strachu. Niskie, zatulone w kołnierze twarze przechodniów kryły się szybko, zamazywane przez drobny deszcz, Nadpływały wrogo chłepczące powietrze. Jak zawsze po godzinach milczenia przed ołtarzem, niechlujne tempo życia wieczornej ulicy uderzało ją wrogo i bezsensownie biło w mordę. Szła sama, skulona i pokornie świadoma najcięższego grzechu, jaki na niej ciąży — nienawiści.

Tak, odkąd w ciszę jej życzliwego człowiekowi życia wlała się brudna i okrutna wojna — nienawidziła ludzi. Z przerażeniem i gniewem uświadomiła sobie to odtrącenie od Chrystusa. Za swój też grzech uważała dzikie i wrogie Bogu życie Stanisława.

Upokorzona, tym samym drobnym kroczkiem wchodziła w modlitwę.

Nadchodziły wtedy chwile wybaczenia. Widziała, że oto spracowany robotnik wraca do żony i dziecka, że ten znów młody — to student, zdążający do pracy w swej dalekiej izdebce.

Ale teraz okroczyło ją pogardliwie echo kroków podkutych, wojskowych butów; wymijając patrol żandarmerii, skulona podążała ku domowi.

W cichej, zupełnie bocznej uliczce willowej dzielnicy zdała sobie sprawę, że znów powraca daremnie — pusta torba serca ściśnięta była boleśnie. I jakże błagać mogła za grzechy Stanisława — sama zbrukana była podłą nienawiścią. I jak mu miała pomóc, gdy przez górę jej grzechów dostrzec nie chciał jej próśb ten Bóg, który miał ocalić Stasia.

Maria sama chwilami nie wiedziała, czy w jej błaganiach o życie mniej grzeszne dla niego, o życie, w którym by nie zabijał, czy błaganie o odwrócenie odeń grzechu zabójstwa, nie było właściwie błaganiem tajemnym o bezpieczniejsze, bardziej pewne dlań życie.

Schwytana przez tę myśl, wyrwała się jej drobnymi kroczkami po schodkach prowadzących do drzwi mięszkania.

Helena otwarła jej nie zaraz. — „Jeszcze siedzi w kuchni" — pomyślała o niej niechętnie. Helena zajęta była jutrzejszym imieninowym przyjęciem dla Stanisława. Obie siostry od czasu śmierci ich brata, a ojca Stanisława, żyły dla tego chłopca. Jego ciągłe, nieraz kilka dni trwające wyjazdy, jego powroty, gdy zmęczony, niewyspany chował broń — to wszystko kładło ich życie w jakimś uchwytnym prawie cieniu tej wojny.

Helena uśmiechała się, otwierając drzwi. Wiedziała, że chmurne czekają ją z tamtej strony oczy Marii. Zawsze wraca-

ła posępna z tych wędrówek pobożnych. Lecz Helena była już spokojna (i mogła ten spokój dawać).

Jutrzejsze przyjęcie imieninowe dla Stanisława było już gotowe. Minione już chwile, gdy ciężko dysząc biegła w triumfie do domu, zdobyte niespodzianie drożdże, dawały jej spokój i wybaczenie. Choć stała potem nad piecem czerwona od żaru i wstydu, gdy dodając cynamonu zapomniała, że Staś ma gust inny i lubi ciasto „ostre", jak mawiał, wymagające dużo przypraw. Ze łzami w oczach sprawdziła że już za późno i nic dodać do wypieku nie było można. Myśl o podłym egoiźmie, który kazał powodować się własnym smakiem nie dawała jej spokoju.

Pociechą była myśl o startym właśnie cukrze, przygotowanym na lukrową polewę — można tu będzie dosypać więcej cynamonu. Potem jednak, płynąc już nieco uspokojona, na szumiącej fali dźwięków, wspominała sobie żałośnie błąd swego smaku. Ten dzień w błyskach czyhających rondli i czekającego wiecznie na coś ognia kosztował ją dużo. Niemniej niż poranny spacer po sprawunki (drożdże). Helena starała się nie wychodzić nigdy na ulicę zdziczałego miasta. Widoku obcych mundurów, jakie nosili ludzie, którzy zamordowali jej brata znieść nie mogła swoim sercem, pełnym drobnej może lecz mocnej miłości do człowieka.

Ten wilgotny ranek, w którym szła do sklepu, szła po wąskich chodnikach, spotykając patrole żandarmerii i pojedyńczych żołnierzy, szła by się dowiedzieć, że drożdzy nie ma — drogo ją kosztował.

I ta bieganina po sklepikach, potem po znajomych paniach! — serce stanęło jej boleśnie, gdy w kuchni, już wyjmując sprawunki, spostrzegła brak pożyczonych na koniec od znajomej, drożdży.

Torebka znalazła się oczywiście w kieszeni czarnego palta, bała się właśnie włożyć ją do koszyka, by nie zgubić — i tak zapomniała.

Wtedy dopiero, słodko osłabiona, siadła wobec królującego w niklach pieca. Teraz, gdy odeszła go na chwilę by otworzyć drzwi siostrze, wszystko już było gotowe. Ciasto, chyba już „ostre", stygło spokojnie.

Nad ciemną głową Marii, zakreśloną ciemniejszą framugą drzwi, stał już młody, przezroczysty księżyc w pustym niebie.

— „Tak długo siedziałaś" — powiedziała Helena w ciemne oczy siostry.

* * *

Co kilkadziesiąt kroków machał uzbrojoną w kapelusz ręką w kierunku wschodzącego, olbrzymiego księżyca. Włochaty, obrośnięty wiatrem jego krąg z trudem przesłaniał trzymany na odległość ramienia kapelusz. Miał ochotę wołać do tego sukinsyna, a ten potężny, wielki i radosny kawał nieba — to on niósł go tak tęgo ściętą przymrozkiem drogą. Rozszerzonymi nozdrzami chłonął świat chłodny, rzeźwy.

Z głównej drogi zeszedł na boczną wydeptaną ścieżkę, zachodzącą na szerokie pole, na którym już tylko on, potężny i czekający na okrzyk wyłaził. Zagwizdał kawałek marszowej piosenki. Daleko za nimi wlokąca się furmanka zaczęła się zbliżać. Przyspieszył kroku. Chłopek jechał widocznie kłusem, Gdy mijał go chwilę potem Stanisław ryknął to „hej!", które o pół godziny skróciło jego marsz do stacji. Było właściwie czyhającym na wyzwolenie pozdrowieniem dla niego, który rozdęty i nahalny właził na niego. Chłopek wziął owo „hej" Stanisławowe do siebie i, jak się należy, przystanął. Pojechali. Da tych kilka ostatnich papierosów i najwyżej nie będzie palił w wagonie. A teraz mógł rozciągnięty na słomie trząść się bezczelnie, brzuchem zwrócony do niego.

Wjechali w niski brzozowy zagajnik. Niskie, pogięte drzewka przypomniały mu ojczyznę. Wiatr przygiął je—reszta zwiędłych liści broniła się rozpaczliwie. Ale w sam czas przyjechał na stację. Nie było żadnego patrolu ani legitymowania. Było do końca świetnie. Jeszcze tylko zdążył pomyśleć, że do ciotek nie zajdzie ,przedtem — i już spał w kołyszącym, zimnym wagonie, nad którym wysoki, w ramie okna stał blady księżyc.

* * *

Zamach musiał się udać. Wyjątkowo szczęśliwie w przeddzień powrotu Henschla do Warszawy trafił Stanisław na jego ślad.

W imieninowym prezencie dali mu kierownictwo zamachu. Był w pierwszorzędnym nastroju, gdy w imieninowy ranek, ubrany już „służbowo" — w ceratowy płaszcz i cyklistówkę— telefonował do ciotki Marii, że przyjdzie, na pewno, ale dopiero później, no, tak koło 5-tej. I zostanie na parę dni w domu na pewno. Wiedział, że około południa będzie po wszystkim. Nie myślał, że mogło by się nie udać. Nawet nie miał okazji tradycyjnie odpukiwać w nieheblowane drzewo złych myśli — po prostu ich nie było.

Pierwszy raz odpukał, gdy ciągnąc za wielką, niebieską limuzyną Antek skręcił niespodziewanie. Wtedy po raz pierwszy odpukał w kolbę „Visa”.

Henschel nie jechał do siebie, gdzie przed bramą czekali chłopcy, którzy mieli go kończyć, by potem wskoczyć do wozu Stanisława i jechać na punkt — po wszystkim.

„Za nim—powiedział przez zaciśnięte zęby, niepotrzebnie zresztą, bo Antek prowadził wóz pewnie, w odległości za niebieskim. Ze złością przejeżdżał Stanisław przez most.

Znów narobi hałasu we własnej dzielnicy — nie lubił tego, jak żaden rozsądny chłopak. Zaciął się, że Henschla nie puści. Wóz tamtego skręcił w ciemną uliczkę. Stanisław odkaszlnął. W tej nieruchliwej dzielnicy nie można było nawet jechać za nim bez zwrócenia uwagi. Decydował się chwilę. Jedź prędzej? — Antek nacisnął gaz. Właśnie tamten już stanął przed furtką willi w głębi ogrodu. Antek zorientował się i szybko minął tamten wóz, którego drzwiczki zatrzaskiwał właśnie ostatni z nich — wysoki, ubrany w mundur mężczyzna, gdy Henschel i drugi byli już parę krowów za furtką w głębi ogrodu.

Za rogiem zorientowali się w sytuacji. Antek był również zdecydowany „robić” Henschla we dwóch. Zrobić Henschla — tak bez przygotowania, we dwóch tylko, gdy tamci sądzą, że im się wymknął — i to Henschla z obstawą dwóch jeszcze ludzi — to przemawiało również do jego wyobraźni.

Po chwili namysłu ustawili swój wóz daleko za rogiem ulicy, którą Henschel miał wracać do miasta. Przedmiejska uliczka, z jednej strony tylko zabudowana, z drugiej pusta jeszcze, z nawiezioną tylko stertą cegieł czerwonych na jednej parceli.

Na drugi dzień, w inny, zwykły już dzień, nie ten, którym są imieniny Stanisława — już tylko ten drugi, tylko, Antek, pamiętał te chwile, gdy czekali cierpliwie, spacerując po pustej uliczce. Tylko on pamiętał nawroty myśli, że to się może udać — myśli, której nie odpukał nawet ich wspólnym zwyczajem w kolbę, tak był zdenerwowany. Tylko on pamiętał tę chwilę, gdy odeszli od siebie szybko na tępy warkot motoru.

Gdy Stanisław rzucił, trochę za wcześnie, pierwszy granat i z rozwalonych drzwiczek wyskoczyli ci dwaj na stronę Antka.

I w ten drugi, następny dzień odczuwał jeszcze radosny spazm na przypomnienie swej serii, która rzuciła ich płasko na jezdnię. Stanisław na pewno strzelał już do trafionych — gdy tak leżeli. Ale sam Henschel wyskoczył z tamtych drzwiczek na tamtą stronę wozu. Pojęli obaj ze Stanisławem błąd swego rozstawienia już leżąc pod krótkimi seriami pistoletu tamtego.

Szybko pryskające grudki ziemi zabawnie obsypywały wtuloną w piach głowę — nie miał czasu uśmiechnąć się, czekając na moment, gdy tamten będzie musiał zmienić magazyn. Teraz. Poderwał się i z kolana bił serią w przeciwległą stronę niezabudowanej ulicy. Widział na pagórku — nikłej nierówności terenu — tylko ruszającą się czapkę tamtego. Po chwili znów prysła ziemia tuż przy kolanach. — Celny — pomyślał i mściwie wytrzymał jeszcze moment na klęczźkach. „Pudło"— leżał już znowu, szukając rozpaczliwie magazynu. Zgubić go musiał przy padaniu — macał wokół siebie daremnie. Usłyszał swoje imię — leżący obok Stanisław nakazywał skok z powrotem. Wyczekali moment i obaj poderwali się razem. Przed pierwszym strzałem tamtego dopadli zasłaniającego ich muru. Antek pamiętał bladą ze złości twarz Stanisława. Zapuścił motor. — „No i tak dwóch zostało" — zdążył pomyśleć nim usłyszał głos Stanisława: „Zawracaj!" Obejrzał się. „Zawracaj!" — powtórzył tamten. Antek pojął już, przełączając na trzeci bieg, że Stanisław nie darował—liczy na zaskoczenie. Mijając róg, zdjął prawą dłoń z kierownicy. Henschel stał, pochylony nad rowem przydrożnym jakby namyślając się czy przeskoczyć. Teraz właśnie Antek nie umiał sobie przypomnieć ani głosu strzału, ani nic, co było przez tę sekundę, nim odczuł uderzenie w prawą wysadzoną przez okienko dłoń — Vis wypadł na bruk. Obejrzał się i widział jak seria Stanisława przeciągnęła tamtego wzdłuż, że padał do przodu z dziwnie odrzuconą w tył prawą ręką, w której trzymał broń.

Ale już ulica wiedziała. Z kilku stron uderzyły w ich wóz strzały — nawet tędy przechodzili pojedyńczy żołnierze, zresztą od pierwszej detonacji minęły ze trzy chyba minuty — o tym przekonywał się, prowadząc wóz, okrwawiając koło kierownicy i swoje spodnie. Pamiętał z tego dnia i te chwile, gdy rozstali się ze Stanisławem, wyskakując na dwie strony unieruchomionego wozu.

Dla tych dwóch kobiet ważniejsze jest to, czego pamiętać Antek nie mógł.

* * *

Maria zmęczona była po nocy pełnej złych snów, po porannej modlitwie pełnej lęku o Stanisława. Najgorsze było, najgorszym lękiem przejmowało, gdy pojmując ten grzech egoistycznej miłości bała się go tak przeraźliwie nie dlatego, że krzywdzi Boga, lecz że traci na tym, na nieskuteczności grzesznej, egoistycznej modlitwy — on — Stanisław. Z ulgą

patrzyła teraz na poważne krzątanie się Heleny wokół świątecznie wyglądającego stołu. I tamta wiedziała, że jej chmurne oczy jaśnieją chwilami w spojrzeniu w górę — na wiszący, staroświecki zegar. Dochodziła dwunasta.

Maria wstała i wolno przeszła do swego pokoju. Z gniewem spostrzegła, że stoi u okna — minęła klęcznik, chcąc widzieć tę pustę uliczkę, o którą obijały się w tej chwili rzadkie, dalekie strzały — tak częste tu, ach, jak częste. Uklękła...

Dzwonek zerwał jej modlitwę, jak cios prądu. Całą siłą cisnęła swe ciało kolanami do ziemi: nie wstała. Dalej mówiła modlitwę pogardliwie wiedząc, że słucha kroków siostry na schodach...

Helena nie szła...

Helenę uderzył dzwonek, gdy pochylona nad sałatką liczyła krople oliwy odmierzanej. Niecierpliwym gestem głowy odpędziła od siebie głos dzwonka. Wrócił dopiero, gdy zła o możliwą pomyłkę (znów ostrość będzie nie ta) smakowała w wewnętrznej ciszy. Próbowała. Na powtórny głos dzwonka skoczyła do okna, by z zawodem dostrzec oddalające się plecy mężczyzny w cyklistówce i ceratowym płaszczu. Dopiero teraz przypomniała sobie huczące przed dobrą chwilą strzały, które mgliście tylko zanotowała jej zajęta pracą wyobraźnia.

„Chciał się schować” — pomyślała jeszcze. Chciała otworzyć okno, zawołać, wpuścić... ale spojrzała na dymiącą kuchnię... Kipiało! Skoczyła do pieca. W pół drogi zatrzymał ją bliski wybuch kilku strzałów i krzyków...

Skoczyła do okna!

Mleko syczało na kuchni tłumiąc szept modłów Marii.

STANISŁAW NADZIN

Dzieje jednego grypsu

Przybycie do celi niepozornej babiny w ciepłej, kraciastej chuście, z wiejska założonej na głowę, nie zrobiło na więźniarkach większego wrażenia.

Od szeregu tygodni żyły pod znakiem wywózek na transport. Zaczęło się to niespodziewanie od drobnej stosunkowo partii kilkunastu, które wybrano z różnych cel, zdawało się bez ładu i składu, przypadkowo. Były wśród nich takie, które siedziały od roku i więcej, ale były także aresztowane przed

kilku zaledwie dniami, znalazły się w tej pierwszej partii przesłuchiwane już kilkakrotnie, jednej nawet odczytano już podczas ostatniego badania w gestapo akt oskarżenia, ale były także i takie, których w ogóle dotąd nie badano; były stare i młode, zdrowe i schorowane; aresztowane przy rewizji, podczas której znaleziono obciążający materiał polityczny i zatrzymane przypadkowo, podczas ulicznej łapanki. Kiedy wywoływano je z cel, korytarzowe miały zgóry spisane nazwiska, imiona i lata urodzenia — więźniarki myślały początkowo, że zawiozą je na badanie. Dziwiono się tylko niezwykłej, spóźnionej porze. Był już wieczór, a na przesłuchanie do gestapo brano zwykle wczesnym rankiem. Wątpliwości rozwiał ostatecznie rozkaz korytarzowych:

—Wszystkie rzeczy zabrać ze sobą.

Odtąd powtarzało się to niemal codziennie. Po kilkanaście, czasem odrazu kilkadziesiąt wywołanych z nazwiska i imienia więźniarek, wychodziło na korytarz zabierając ze sobą cały swój, mizerny zresztą dobytek, aby nigdy już nie wrócić do celi. Te, które pozostawały, zachodziły w głowę, starając się odgadnąć klucz, według którego Niemcy wybierają kobiety na transport. Daremnie. Wszystkie pozory wskazywały raczej na to, że wybór jest całkowicie przypadkowy, a rozkaz skazujący jedne na wywózkę a inne na pozostanie w więzieniu — wydawany na ślepo. Daremnie też dociekały, skąd właściwie wiedzą o losie swych wywiezionych towarzyszek.

„Wiedzą o losie"... W powiedzeniu tym była oczywiście znaczna przesada. Wiedziały tylko tyle, że tamte „jadą na transport". Tak mówiła zaufana korytarzowa-łączniczka. Wywózką na transport groziły niepokornym strażniczki. O transporcie wreszcie wspominał gryps, przysłany już z wolności przez jedyną — według posiadanych przez nich informacyj — której udało się zbiec w czasie drogi, Irenę Paczkowską.

Nie wiedziały jednak najważniejszego: dokąd ją wywożą? Dokąd szły transporty: do obozów śmierci, czy pracy przymusowej? Wgłąb Niemiec, czy do innych więzień w kraju? Może na początku drogi odbywała się jeszcze jakaś selekcja? A może wywożono je do któregoś z podmiejskich lasków wprost na egzekucję?

Pytania te — obok daremnych dociekań według jakiego klucza Niemcy wybierają na transport — były najbardziej dręczącą, najbardziej wyrafinowaną torturą psychiczną jakiej w owym czasie poddawane były więźniarki.

Babina w chuście z pewnością nie mogłaby im pomóc w znalezieniu odpowiedzi na te dręczące pytania. Zadowoliły

się przeto udzieloną — w skąpych zresztą słowach — informacją, że zatrzymano ją przed paru zaledwie godzinami i prosto z komisariatu przywieziono tutaj.

Nie zapytano nawet o bliższe okoliczności aresztowania, nie starano się wybadać — wprost nigdy o to nie pytano, ale te z organizacji zwykle starały się dojść do tego „czy ma co na sumieniu", czy też jest przypadkową ofiarą. Nowa więźniarka ze swej strony również nie zdradzała ochoty do zwierzeń. Zajęła miejsce na pryczy w kącie celi, ciemnym i sąsiadującym z wilgotnym zaciekiem na ścianie.

Życie więźniarek płynęło nadal swoim zwykłym, monotonnym trybem, przerywanym tylko odchodzeniem tych, które jechały na transport, daremnym zgadywaniem: na kogo teraz przyjdzie kolej? i daremnymi dociekaniami: dokąd je wywożą?

W dramacie, który się miał rozegrać pod nurtem więziennego życia, w głębinach jego jak wir, któremu nie dane jest ukazać się na powierzchni spokojnie napozór płynącej rzeki— rolę miały odegrać dwie tylko osoby. Jedną z nich była nowa więźniarka — niepozorna babina w ciepłej kraciastej chuście, z wiejska założonej na głowę; drugą Elżbieta Moraczewska, młoda kobieta aresztowana przed dwoma miesiącami, w stosunku do której — jak sama mówiła — Niemcy nie mają żadnych dowodów obciążających, ale która — wiedziały o tym wszystkie współtowarzyszki w celi, a zresztą sama tego nie ukrywała — związana była z organizacją.

W dwa dni zaledwie po przybyciu do celi nowej więźniarki zaufana korytarzowa - łączniczka wyprowadzając je na codzienny spacer po więziennym podwórku wsunęła Elżbiecie do ręki zwinięty w kulkę papierek.

— Dla Surowcowej.

Elżbieta podrapała się w udo, zręcznie wsuwając przy tym ruchu gryps za pończochę Zdziwienie jej było jednak tak wielkie, że nie mogła się już doczekać końca przepisanego spaceru. Skorzystała też z pierwszej nadarzającej się okazji — nieuwagi dozorującej strażniczki — ażeby zamienić się parami. Przez chwilę szła w milczeniu obok babiny w chuście. Pani nazywa się Surowcowa?

— Acha... — cicho potwierdziła tamta.

Elżbieta obejrzała się na strażniczkę:

— Mam dla pani gryps.

Surowcowa podniosła twarz, Elżbiecie zdawało się, że w jej zgaszonych oczach mignęła jakaś żywsza iskierka. Ale natychmiast spuściła wzrok. Nie odpowiedziała.

— Gryps... to jest list — stamtąd — wszczęła znowu rozmowę Elżbieta, podejrzewając, że Surowcowa nie zrozumiała.

— Wiem... — odburknęła staruszka niemal ze złością.

Kiedy wróciły do celi, Surowcowa pierwsza podeszła do Elżbiety. Była wyraźnie podniecona i dopiero teraz Elżbieta oceniła właściwie jej zachowanie podczas spaceru jako maskę obojętności podyktowanej ostrożnością. Wyciągnęła z za pończochy gryps i chciała go oddać Surowcowej.

— Nie, niech pani będzie łaskawa sama mi go przeczytać... Niedowidzę — dodała, jakgdyby tonem usprawiedliwienia.

Podeszły bliżej okna. Zmierzchało już. Elżbieta napróżno starała się odczytać mikroskopijnymi literkami na maleńkim skrawku bibułki napisane słowa. Chciała już odłożyć do jutra, ale Surowcowa zaczęła się niecierpliwić. Zaciągnęła ją do swojego kąta. Położyły się obok siebie na pryczy. Przykryły głowy kraciastą chustą. Elżbieta zapaliła papierosa i przy wątłym światełku, jakie dawało jego żarzenie — Elżbieta zaczęła odczytywać słowo po słowie...

Czytając zrozumiała wszystko. A w każdym razie bardzo wiele. Zrozumiała to, co wywołało jej zdziwienie, kiedy zaufana korytarzowa-łączniczka doręczyła jej gryps dla Surowcowej. Dziwiła się wtedy, bo droga przez tę właśnie łączniczkę, była drogą używaną przez organizację. Dziwiła się, bo gryps nadszedł w tak szybkim terminie — w dwa dni zaledwie po aresztowaniu.

Teraz wszystko stało się dla niej jasne. Nie ulegało żadnej wątpliwości: Surowcowa była związana z organizacją. Więcej— związana mocno. Autor grypsu zawiadamiał Surowcową, że organizacja wie o jej aresztowaniu i przedsięwzięła kroki, ażeby ją wydostać; na końcu listu przesyłał instrukcje, dotyczące pracy w więzieniu.

Skończywszy czytanie, Elżbieta z szacunkiem i mimowolnym podziwem spojrzała na staruszkę. Ta jakgdyby nie zauważyła jej wejrzenia.

— Trzeba im odpisać — powiedziała — tą samą drogą będzie najpewniej. Tylko ja już panią poproszę o napisanie tych paru słów. Niedowidzę...

— Ależ, oczywiście! — szybko zgodziła się Elżbieta.

Przyniosła spod swego siennika, ukryte w szczelinie między deskami pryczy, kartkę papieru i ołówek.

— Ja podyktuję — powiedziała Surowcowa.

— Proszę...

Nazajutrz wysłały tą samą drogą — przez zaufaną korytarzową-łączniczkę, tak samo — mikroskopijnymi literkami na maleńkim skrawku bibułki — napisaną odpowiedź.

W południe Surowcową wywołano z celi.

— Znowu biorą na transport? — z przerażeniem pytały więźniarki.

Okazało się jednak, że nie. Wywołano tylko ją jedną.

Wróciła przed wieczorem. Weszła do celi, jakby na nieswoich nogach. Rękami czepiała się ścian, jakgdyby zaniewidziała. Usta miała wpółotwarte i dziwny grymas na twarzy. Elżbieta szybkim krokiem podeszła do niej.

— Co się stało?

— Znaleźli gryps... Droga jest niedobra, więcej nie używajcie, odpowiedziała nie swoim chrapliwym głosem.

— Niech pani usiądzie.

— Nie mogę... — zatoczyła się i gdyby Elżbieta nie podtrzymała jej, byłaby upadła. W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Na progu stały: oddziałowa, korytarzowa i dwie strażniczki. Elżbiecie wydało się, że oddziałowa Schurke ze szczególną uwagą lustruje celę i że specjalnie długo zatrzymała swój wzrok na niej. Przez moment chciała się cofnąć, ale ciało Surowcowej zaciążyło na jej ramieniu. Podtrzymała je.

— Surowcowa, — szczeknęła Schurke — Komm!

Elżbieta sama podprowadziła ją do drzwi. Zdążyła jeszcze zapytać: „Bili?", ale już nie otrzymała, czy tylko nie dosłyszała odpowiedzi. Na korytarzu słaniającą się Surowcową wzięły pod ręce strażniczki.

Drzwi zatrzasnęły się. Elżbieta została — wśród dwudziestu ośmiu współwięźniarek — sama. Jedna tylko wiedząc o tym, co się stało...

Nastąpiły godziny — jedne z tych, których tragizm polega na tym, że mijają zbyt szybko i jednocześnie wloką się zbyt powoli. Zbyt szybko — by powziąć śmiałą, godną decyzję i zbyt wolno — by można było przetrzymać mękę zamkniętej w nich niepewności, doczekać, najgorszego bodaj, ale lepszego od niepewności, rozwiązania.

W umownym, przyjętym między ludźmi, obrachunku czasu, trwało to trzydzieści sześć godzin...

Nazajutrz, podczas więziennego spaceru Elżbieta przechodząc obok karceru, zauważyła przez gęsto zakratowane okno zmienioną twarz Surowcowej. Szybkim ruchem rozdarła podwiązkę, pończocha jej opadła. Podtrzymując ją, podeszła do okna karceru, uniosła spódnicę, zaczęła poprawiać...

— Pani Surowcowa...

— Niczego nie powiedziałam. Pani też niech się nie przyznaje. Nie domyślają się nawet, kto mógł napisać gryps... — doszedł ją szept z głębi karceru.

— Moraczewska, wróć do szeregu! — zawołała strażniczka.

Elżbieta wróciła. Dowiedziała się już zresztą wszystkiego, co chciała wiedzieć.

Surowcowa z łatwością wytłumaczyła się, że gryps nie był pisany przez nią. Trudno było zresztą tę prostą kobietę, półą może zupełną analfabetkę posądzać o własnoręczne napisanie więziennego listu. Wiedzieli jednak, że od niej pochodzi. Trzymali ją w karcerze, bili, męczyli poto tylko, aby wydobyć z niej zeznania, kto go napisał.

Elżbieta twardo postanowiła, że przyzna się sama. Argumenty, które przytaczała przeciwko temu postanowieniu, dyskutując sama ze sobą ubiegłej nocy, — wydały jej się teraz błahe i bez znaczenia. „Ona jedna z całej celi ma kontakt z organizacją”. „Może jej — to jest organizacji — oddać wielkie usługi, przynieść pożytek”. „Trzeba oszczędzać ofiar nawet wówczas, kiedy ofiara ma być złożona z nas samych; nie należymy do siebie”. — Cóż znaczyły wszystkie te argumenty, jakaż była ich wartość, wobec faktu, że starą kobietę bito, katowano — za nią? — Zamiast niej?

Postanowiła tak, twardo postanowiła — pójść i powiedzieć, że to ona napisała gryps. Przyznać się i zażądać żeby Surowcową puścili A jeśli to nie pomoże? Jeżeli staruszkę będą męczyć dalej, żądać wyjawienia do kogo gryps był adresowany, zdradzić tych na wolności?

— Nie To być nie może. Muszą ją puścić, przestać męczyć. Przecież wyraźnie powiedziała, że chcą się tylko dowiedzieć, kto napisał gryps. Elżbieto, kusisz sama siebie, sama chcesz się oszukać — strofował ją ostro głos własnego sumienia.

Wracając do celi, już zamierzała podejść do oddziałowej, gdy nagle w głowie jej powstała nowa myśl:

— Elżbieto, — pytała sama siebie — czy twoje postanowienie nie płynie z tego, że nie ufasz Surowcowej, że nie wierzysz, by przetrzymała karcer i bicie, że boisz się — że cię wyda i wiesz, że wtedy będzie z tobą jeszcze gorzej? Czy nie obrażasz staruszki tą swoją niewiarą i nieufnością? Elżbieto zastanów się.

Zastanowiła się. I znowu przeszło kilka bezcennych godzin.

Zapadła noc. Elżbieta zasnęła.

Nazajutrz ją i jeszcze kilka więźniarek wywołano z celi. — Znowu na transport? — od kilku dni jakoś z transportami ucichło.

— Nie, bez rzeczy — rzuciła zamiast odpowiedzi korytarzowa.

Elżbieta niemal ucieszyła się. Po przespanej nocy — wczorajsze wątpliwości zbladły. Znowu postanowiła sobie, że przyzna się do napisania grypsu.

„Świetnie się składa. Zrobię to podczas badania na gestapo".

Sprowadzono je na podwórko. Ustawiono w szeregu. Kazano policzyć.

Czekały na budy, którymi je miano zawieźć na gestapo.

Elżbieta spojrzała w kierunku zakratowanego okna karceru, przez które wczoraj udało jej się zamienić parę słów z Surowcową. Dziś nie widziała nic, stała zresztą zbyt daleko. Nie przychodził jej do głowy żaden pomysł, któryby umożliwił zbliżenie się do okna, zobaczenie się raz jeszcze i zakomunikowanie o...

Po dobrym kwadransie, wreszcie nadjechały budy. I niemal w tej samej chwili drzwi karceru otwarły się: dwie strażniczki wynosiły na noszach ciało. Elżbieta poznała ciepłą, kraciastą chustkę, którą Surowcowa z wiejska zakładała sobie na głowę. Oniemiała z przerażenia, popychana przez idące za nią więźniarki, nieświadoma tego co się z nią dzieje, wdrapywała się na samochód. Z jego wysokości zobaczyła jeszcze, jak nieznajomy gestapowiec, wyszedłszy z karceru, nasunął chustę na twarz Surowcowej, jak się to robi z trupem.

Drzwi budy zatrzasnęły się i auto z przeraźliwym wizgiem gestapowskiej syreny wyjechało za więzienną bramę.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Co pan myśli o Przybosiu?

W rozmowach, a nawet w listach pytany jestem często ostatnimi czasy: „Co pan myśli o Przybosiu?...” Obcesowa zwięzłość tego pytania nie ułatwia bynajmniej odpowiedzi, zwłaszcza że pytają przeważnie ludzie, których ciekawość — zdawałoby się — raczej w sferze cen chleba i zelówek, niż w wysokich rejonach poezji, powinna być umiejscowiona. I to jest właśnie charakterystyczne: trudne i „niezrozumiałe” strofy liryki Przybosia docierają na dalekie peryferie zwykłych odbiorców wiązanego słowa, budząc wśród nich — wbrew oczekiwaniu — tajemniczo niepokojące wzruszenia, układając te silne, choć mało uświadomione reakcje w kształt zapytania: „Co pan myśli o Przybosiu?...”

W N-rze 19 „Odrodzenia” w wyznaniu p. t. „Z teorii i praktyki poetyckiej” sformułował Przyboś szereg tez i wskazań dla poezji w ogóle — podstawowych. Czytamy tam m. in.: „Istotą twórczości jest odnowa, niepoprzestawanie na osiągniętym już zasobie poetyckiego gospodarstwa... Każdy utwór ma być równaniem serca, matematycznie określoną definicją stanu lirycznego. Najbardziej artystyczny wiersz winien mieć wygląd tak przekonywujący i naturalny, jak gdyby się dział bez trudu, a koniecznie jak oddech...” Nie ma dobrego wiersza, któryby nie mógł być powszechnie zrozumiany i odczuty.

O przeroście metafory w twórczości tego czy innego poety trudno dyskutować na serio, skoro poezja w ogóle jest ogromną, niebosiężną metaforą, tj. przeniesieniem treści wzruszeniowej z gruntu wyrażeń i wyobrażeń potocznych w sferę zwrotów i obrazów poetyckich. „Poezją jest to, co nie da się powiedzieć językiem potocznym — prozą”, definiuje Przyboś i ma zupełną rację. Bo właśnie na śmiałych łukach metafory wspiera się most, łączący obiektywną prawdę doznań z pięknem jej poetyckiego wyrazu. Oczywiście, most może być zbudowany dobrze lub źle, materiał użyty do tej budowy może być szlachetniejszego lub lichszego gatunku, harmonia szczegółów konstrukcji i forma całości mogą być więcej lub mniej doskonałe. Metaforyczny most, jako element główny wszelkiej poezji, jest na-

rzucającą się nieodparcie i zrozumiałą ogólnie koniecznością. Kwalifikacje budowniczego i rodzaj materiału stanowią o wartości ostatecznej dzieła.

W tym miejscu zbliżamy się do sedna zagadnienia, dotyczącego „nieczytelności" poezji Przybosia. Albowiem metaforyczny most, ze względu na osobliwości konstrukcji, nie dla wszystkich jest w tym wypadku dostępny. Jego piękno bywa raczej przeczuwane niż odczuwane, raczej na wiarę przyjmowane niż rozumiane, a najczęściej jest — w ogóle kwestionowane. Gdy spojrzeć głębiej w istotę sprawy, nie będziemy się dziwić, że wygląda ona właśnie tak, a nie inaczej. Bo poeta, dla którego „odnowa", „wynalazczość" i „niepoprzestawanie na osiągniętym już zasobie" stanowią naczelne wskazania twórcze, nie może poczynać sobie z prosta i zwyczajnie, nie może trzymać się „utartych kolein", lecz obowiązany jest poszukiwać nowego wyrazu, „skuteczniej kształtującego serce i głowę czytelnika..."

Heine wyraził się kiedyś: „Pierwszy, który porównał kobietę do kwiatu, był wielkim poetą, ale następny był cymbałem"... Niewątpliwie. I dlatego jest nie tylko dobrym prawem, lecz i obowiązkiem każdego rzetelnego poety uciekać o tysiąc mil z terenów, gdzie mogło by go dotknąć drastyczne słowo Heinego. Przed banalnością zestawień „kwiat i kobieta", przed zakrzepłym w nijakości „sztandarem formy" chroni się i Przyboś w krainę odkryć i wynalazków poetyckich, których wartość i doniosłość nie zawsze, oczywiście, może być jednakowa. Układa swe „równania serca" i poszukuje „matematycznie określonych definicyj stanu lirycznego", z myślą o „idealnym odbiorcy poezji", t. j. o takim, który byłby obdarzony dwojaką wrażliwością: „czułby czułością dotychczasową... a jednocześnie otwierał by swoją wrażliwość twórczym odstępstwom od dawnych czułości".

Ale „idealnych odbiorców" jest niewielu. Bez porównania liczniejsi są „słuchacze pospolici", którzy „wzruszają się banałami", do których dociera tylko to, „co biegnie po dawno utartych koleinach słów i uczuć"... I tu rodzą się nieporozumienia, stąd powstaje niezrozumienie i „niezrozumialstwo", a zapoznanie celów poety dyktuje słuchaczom pretensje o znaczeniową zawiłość jego metafor, o ich nadmierną, „bliską milczeniu", zwartość, o zbyt trudno uchwytną wyrazistość ich niezwyczajnych elementów. I tu znów trzeba przypomnieć słowa samego poety: „Tam gdzie się kończy wynalazczość — kończy się poezja, a zaczyna powtarzanie, stylizacja, zdobnictwo".

Sądzę, że będzie nie od rzeczy wykazać na jednym choćby, drobnym przykładzie, czego unika i dokąd zmierza w swej twórczości Przyboś. W wierszu p. t. „Ciężar poematu" znajdujemy obrąz następujący:

„Nic, tylko złoty obłok wytłaczał w błękicie wzór
chwili,
jakieś pisklę ćwiczyło się wymawiać jej imię"...

Poeta, czerpiący bez wysiłku z gotowego „standardu formy", miałby w obliczu kombinacji: obłok — błękit — pisklę zadanie bardzo ułatwione. Porównałby obłok do baranka, a może do żagla, głos ptaka do tęsknej fujarki, dodałby dla „zaokrąglenia" jakiś wariant z pastuszkiem czy głosem sygnaturki — i powstałby bardzo zrozumiały, bardzo dostępny i całkiem popularny „obrazek z życia". Ale od takiej popularności, od takich „obrazków" stronić musi każdy poeta, dla którego odpowiedzialność artysty i sumienie twórcy nie są pustymi dźwiękami. To też, odrzucając banał i łatwiznę, Przyboś ożywia i uczłowiecza „złoty obłok", każąc mu „wytłaczać w błękicie,, wzór niepowtarzalnej chwili, i uczy beztroskie pisklę „wymawiać jej imię"... Porównajmy i oceńmy te dwa sposoby utrwalania „lirycznego stanu", a zrozumiemy, na czym polega różnica i co ona oznacza.

Pozostaje mi do omówienia sprawa bardzo istotna, zwłaszcza w dobie, gdy powszechność i dogłębność przeistoczeń zewnętrznego świata stawiają poecie nowe i szczególne żądania. Chodzi o postawę społeczną Przybosia, o jego stosunek do nurtujących zbiorowość zagadnień, o stopień samowiedzy już po prostu ludzkiej wśród burz i naporu współczesności.

Oddajmy tu znowu głos poecie. „Jednostka bez społeczeństwa nie znaczy nic — mówi Przyboś — poeta bez słuchaczy, śpiewak sobie a muzom, jest jak głuchoniemy gestykulujący na trybunie... Liryka, jakiej oczekuje nasz czas, będzie wzruszeniem człowieka uspołecznionego... Tylko człowiek związany silną więzią z przeżyciami gromady, żyje pełnym życiem uczuciowym i tylko taki człowiek może się wyrazić w pełni"... Te określenia są wystarczająco jasne i nie wymagają uzupełnień.

„Mocny i pewny ton ideowy", na powyższych założeniach wsparty, słusznie podkreślił Stefan Żółkiewski, omawiając w „Kuźnicy" (Nr 4 — 5) „Miejsce na ziemi". Ten zasadniczy ton ideowy poezji Przybosia, ze względu na jej właściwości formalne, nie dla każdego i nie od razu staje się uchwytny. Bo — istotnie — nie znajdziemy tu żadnego programowego

manifestu, ani brzmiących popularnie apostrof, ani takiej czy innej tromtadracji okolicznościowej. Postawa społeczna Przybosia to nie koniunkturalna naleciałość, która opaść może za lada przeciwnym podmuchem, lecz — dojrzały wynik głębokich, wewnętrznych przeświadczeń, zrodzonych z powagi i skupienia. Więc nie zalotne ślizganie się po powierzchni zdarzeń, ale świadome włączenie się w bieg tych zjawisk i faktów, które wiążą jednostkę „z przeżyciami gromady".

Na pytanie, co myślę o Przybosiu, odpowiedziałem jak mogłem, zdając sobie sprawę z niedostateczności tej odpowiedzi. Każdy, kto ciekaw, sam jej sobie szukać powinien — i znaleźć ją może bezwątpienia. Bo mury niedostępności są w tym przypadku raczej fikcją, syconą lenistwem duchowym, bojaźnią rzeczy trudnych i szeptem pokątnych uprzedzeń. Zamiast pytać tego i owego: „Co myśli pan o Przybosiu?" — lepiej czytać wiersze Przybosia, czytać pilnie, uważnie i z odkrywczą pasją, sięgając gdy potrzeba do cytowanego tu gęsto komentarza autora. I zapewniam: kto zdobędzie się na to, by przezwyciężyć pierwsze trudności, przed tym staną otworem nowe, rozległe widnokręgi, dające poznać kształty, światła i barwy nie tylko tej poezji, lecz i poezji w ogóle. A wówczas przymierze pomiędzy poetą a jego słuchaczem stanie się radosnym faktem dokonanym.

CZESŁAWA WOJEŃSKA

Wiktor Strzelecki (Karol)

Z teki Instytutu Pamięci Narodowej

Poznaliśmy go jako Karola i dopiero za drugim jego powrotem do kraju, za drugim pobytem, który trwał kilka miesięcy, nastąpiło zbliżenie i znajomość już bardziej osobista. Wtedy dopiero, z jego własnych opowiadań, dowiedzieliśmy się i prawdziwego nazwiska i historii życia krótkiej, ale bogatej, interesującej i niepowszedniej.

Poznaliśmy go bliżej jako spadochroniarza. „Karol" — mówiono — ten — i gest ręką — ilustrujący spadanie z góry. Ale to było już później.

Po raz pierwszy widziałam go po wrześniowej klęsce. Wyszedł z obrony Warszawy wychudzony, sczerniały, ponury. Ale wprędce podniósł się na duchu. Jego prosta, impulsywna na-

tura stworzona była do działania a nie do nieproduktywnych rozmyślań i biadań nad klęską. Pragnienia jego były proste, naturalne i dokładnie sprecyzowane: jest wojna, wiec trzeba walczyć. Wojna dla Polski mimo klęski nie jest skończona, trzeba bić się o Jej wolność. Za granicą, w Francji, Anglii powstaje wojsko polskie — tam więc należy się udać, by po żołniersku walczyć o odzyskanie Niepodległości.

To też już w grudniu 1939 roku zorganizował dla siebie i kilku innych kolegów przejście przez granicę w okolicach Krynicy na Węgry, skąd udał się do Francji, później do Anglii. Brał udział w walkach na terenie Francji, był świadkiem i uczestnikiem wycofywania się wojska do Szwajcarii i Anglii. Opowiadał o tym barwnie, dokładnie, rozumnie analizując przyczyny klęski francuskiej, trafnie określając znaczenie i rolę sił zbrojnych polskich na Zachodzie. W Anglii uczył się spadochroniarstwa i opanował tę sztukę dobrze i szybko, bo pierwszy raz wrócił do kraju jako spadochroniarz, kurier wojskowy już w grudniu 1940 roku. Przywiózł wtedy rozkazy wojskowe dla ZW.Z. (Związek Walki Zbrojnej później przemianowany na Armię Krajową, AKA), mnóstwo listów dla rodzin ludzi z Anglii, mnóstwo wiadomości politycznych oficjalnych i nieoficjalnych. Był wtedy w kraju krótko. Miał rozkaz szybkiego powrotu. Musiał odwieźć odpowiedzi na przywiezioną korespondencję. Ale te kilka dni, które spędził w Polsce, wystarczyły mu, aby się zorientować w mapie politycznej kraju, aby ocenić trafnie znaczenie walki z hitleryzmem społeczeństwa polskiego i aby, co za tym idzie, nie przeceniać wagi emigracyjnego Rządu. Wyjeżdżając zapowiadał rychły powrót i to już... na stałe, do końca walk wojennych.

Wyjechał. Nie wiedzieliśmy, czy udało mu się szczęśliwie przebrnąć przez kordony graniczne, jemu, obciążonemu kompromitującą pocztą Polski podziemnej. Sądziło się raczej, że nie, tym więcej, iż długie miesiące upłynęły, zanim usłyszało się o nim cokolwiek i dowiedziało, że żyje.

Zjawił się po raz drugi w Warszawie w styczniu 1942 roku już jako kurier polityczny nie wojskowy, który miał w kraju pozostawać czas dłuższy, by przywieźć Rządowi Sikorskiego szczegółowe wiadomości o nastrojach wśród społeczeństwa polskiego, o grupach politycznych, działających wśród tak zwanej Polski walczącej, o rozmiarach i wadze pracy konspiracyjnej, znaczeniu sił oporu, o liczebności i sile organizacyj wojskowych. Polecenia, jakie przywiózł, były dość ogólnikowe, sprowadzały się według Jego słów do wskazań celu działania — łączyć i scalać rozbite i rozczłonkowane grupy polityczne.

W kraju miał pozostać od trzech do sześciu miesięcy i przywieźć szczegółowe dane nie tylko tyczące faktów i wypadków, jakie się w Polsce rozgrywały, ale i myśli i nastrojów, jakie nurtowały w tym okresie społeczeństwo polskie.

Podczas tego drugiego pobytu Karol odbywał zebrania we wszystkich środowiskach pracy konspiracyjnej, niezależnie od ich zabarwienia politycznego i zakresu działalności Zdawał na nich sprawozdanie z prac emigracyjnego rządu, z walk dotychczasowych, z nastrojów, panujących wśród Polaków za granicą. Określał trafnie, z dużym wyrobieniem społecznym i politycznym, poglądy i orientacje różnych emigracyjnych grup, tak, jak zdradzał doskonałą orientacje i trafnie oceniał rozbite grupy polityczne w kraju, różnorodne grupki akcji wojskowej. Stwarzało to dla niego specjalnie trudna i niebezpieczną sytuacje. Inni spadochroniarze znani byli tylko nielicznej grupce najbliższych współpracowników, nie zbliżali się, ani nie dawali poznać szerszym kołom konspiratorów. Nie odbywali zebrań, nie przemawiali jako emisariusze Rządu Emigracyjnego. Karol — chcąc spełnić dobrze poruczoną mu przez Sikorskiego misję, — musiał postepować wbrew wszelkim przepisom i nakazom życia podziemnego. Narażało go to w sposób szczególnie groźny, tym więcej, że pobyt jego przedłużał się i że, wystepując jako człowiek określonych demokratycznych i radykalno-lewicowych przekonań, zdobywał sobie licznych niechętnych, a nawet wrogów na prawicy.

Był to pierwszy kurier zagraniczny, którego interesowała nie wyłacznie akcja wojskowa, ale, i przede wszystkim, polityczna konstelacja sił. Był to pierwszy spadochroniarz o sprecyzowanych, demokratycznych pogladach. Było to tak uderzające, że niepodobna było sie nie zainteresować nim specjalnie i nie zbliżyć, jako do człowieka podobnych pogladów społecznych i politycznych. Wtedy okazało się, że spadochroniarz Karol był od wielu lat członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, bliski i znany w grupie Stanisława Dubois, poza tym głośny działacz na terenie klasowych Związków Zawodowych.

Wiktor Strzelecki, bo takie było prawdziwe nazwisko spadochroniarza Karola, był w tym okresie człowiekiem lat około czterdziestu, pełnym energii i rozmachu, temperamentu i sił witalnych. Niebezpieczeństwa, które groziły mu pod okupacją, specjalnie w ostatnim okresie jego pobytu, nie tylko nie niepokoiły go, ale przeciwnie podniecały do najbardziej ryzykownych posunieć i ryzykanckich decyzyj. Widać było, zresztą sam przyznawał sie do tego otwarcie, że niebezpieczeństwo stanowi żywioł, w którym czuje się dobrze i szczęśliwie. „Meksykań-

czyk" — tak mówił sam o sobie, — gdy podziwiano jego odwagę lub miano mu za złe zbytnią brawurę postępowania. To określenie — Meksykańczyk — oznaczało w jego pojęciu człowieka, który nie tylko dlatego pracuje w konspiracji, że poświęca się dla sprawy walki o odzyskanie wolności i niepodległości Ojczyzny, ale i dlatego, że kocha niebezpieczeństwo, że atmosfera przygody jest tym klimatem, w którym natura jego rozkwita najbujniej.

Był już lipiec 1942 roku, kiedy Karol rozpoczął organizowanie swojego powrotu do Anglii. Przyjaciele partyjni nalegali bardzo na szybki jego powrót za granicę, gdyż chodziło i m o to, aby materiały, które miał zawieźć jak najszybciej dotarły do rąk przeznaczonych. Materiały tę bowiem po raz pierwszy od początku okupacji nie przeszły przez cenzurę władz krajowych cywilnych i wojskowych i po raz pierwszy dawały wyraz prawdzie o stosunkach panujących w Polsce pod okupacją niemiecką, o nastrojach górujących wśród społeczeństwa i mapie politycznej kraju. Wśród tych materiałów były też protesty ugrupowań lewicowych przeciwko pewnym zarządzeniom Rządu Emigracyjnego, zarządzeniom i wypowiedziom, które w kilka miesięcy później wyraziły się niebezpiecznym nonsensem tak zwanej „sprawy katyńskiej".

Wszystko już było gotowe do wyjazdu. Raporty, sprawozdania i memoriały, sfotografowane na mikroskopijnych rozmiarów bibułkach, spoczywały bezpiecznie w najnieprawdopodobniejszych miejscach i przedmiotach ekwipunku emisariusza Karola. Oto jeden ukryty we wnętrzu kluczyka od walizki, kluczyka, który Karol sam, jako ślusarz z zawodu, zmajstrował. Oto mała latarka elektryczna, która się pali zupełnie normalnie, mimo, że część jej wnętrza wypełniają zwitki klisz. Oto szczotka do zębów, która... i tak dalej i dalej. Prawie żaden przedmiot nie odpowiadał swemu normalnemu przeznaczeniu, każdy był tylko pozornie tym, czym się wydawał. Droga powrotu też już była przygotowana, trudna i niebezpieczna. Ale nie to przecież zatrzymywało Karola. Przeciwnie. Niebezpieczeństwo przeprawy ponownej przez graniczne kordony z takim obciążeniem było dla tego „Meksykańczyka" nęcącą go przygodą, jedynym co go ciągnęło do wyjazdu. Bo poza tym wszystko sprawiało, że wolał pozostać w kraju. Przede wszystkim wciągnęła go robota partyjna w grupie Polskiej Partii Socjalistycznej, która zerwała całkowicie z Wuerenem, w grupie tak zwanych w tym okresie Polskich Socjalistów (P.S.), później R.P.P.S. Po wtóre przestał już wierzyć zupełnie w znaczenie działalności emigracyjnej i w możność zmiany i opanowania

ich błędnej polityki, a wierzył coraz goręcej, że o przyszłości Polski zadecyduje kraj. Po trzecie chciał razem z towarzyszami znosić wszystkie niebezpieczeństwa i cierpienia okupacji— i wreszcie bał się, że ostateczna rozgrywka w kraju nastąpi pod jego nieobecność. Bo wierzył w tym roku 1942 w swym optymizmie, że koniec wojny jest już bliski, że bliska jest chwila ostatecznej porażki i rozgromienia Niemców. Bał się więc, że w momencie odwetu nad Niemcami nie będzie w kraju i nie będzie uczestniczył w wypędzaniu Niemców z Polski. Było to naiwne, nawet dziecinne. Podkreślał przytem stale, że wraca do Anglii na krótko i potem już przyjedzie do Polski na stałe.

Tymczasem chmury nad jego głową zagęszczały się. Aresztowania mnożyły i w grupie Polskich Socjalistów i innych, z którymi stykał się Karol. Wymagało to specjalnej ostrożności i czujności. Ale Karol w tym czasie wcale już nie był zdolny do zachowywania przepisów konspiracyjnych wśród gorączkowych przygotowań do odjazdu, wstrząśnięty aresztowaniami swych najbliższych towarzyszy.

Dnia 4 sierpnia we wtorek miał wyjechać, w niedzielę drugiego sierpnia został aresztowany.

Aresztowanie Karola zrobiło olbrzymie wrażenie w podziemnej Warszawie mimo że była już bardzo oswojona ze wszelkiego rodzaju katastrofami. Długi czas po tym aresztowaniu krążyły wśród ludzi niesprawdzone wieści, fantastyczne plotki co do losu Karola. Jedni twierdzili, że został bardzo szybko po aresztowaniu rozstrzelany na Pawiaku, inni, że został wywieziony najbliższym transportem do któregoś z obozów, jeszcze inni, że osadzono go w więzieniu w Berlinie. Byli tacy, którzy twierdzili, że uciekł i że udało mu się przedostać do Anglii.

Upływały miesiące, upłynęły lata i żadna prawdziwa wiadomość ani o śmierci ani o życiu Karola nie nadchodziła i nie nadeszła dotąd.

I tak ostatnia przygoda „Meksykańczyka” pozostanie prawdopodobnie dla nas wieczną tajemnicą.

**Należności za „Lewy Tor” należy wpłacać do K.K.O.
Warszawa, Al. Jerozolimskie 41, Nr konta 178**

Nr. 206 — Graf. Spółdz. Pracy „Grochów”. Grochowska 194. — B 06399

72